

**Dziś w numerze: ● Splacony dług ● Ten dymek z papierosa ● Duński Molier ● Dwie sceny Teatru Joracza ● Gang „Złotej Reni” ● Wiersze ● Recenzje ● Felietony**

# odgłosy



Nr 28 (442)  
16. VII. 1967 r.  
18 stron  
Cena 1 zł

**TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X**

JAN BABIŃSKI

## Sztuka niesienia pomocy

Rocznie ginie w nagłych wypadkach na szosie, w pracy, w domu i nad rzekami kilkanaście tysięcy osób. Zdaniem specjalistów nie jest wykluczone, że 30 procent tych ludzi można było uratować. We Francji tylko na szosach traci życie w ciągu roku kilkanaście tysięcy osób. Poważny dziennik francuski „Le Figaro” podał ostatnio, że połowa tych osób miała, mimo odniesionych obrażeń, wszelkie szanse pozostania przy życiu. Gdyby...

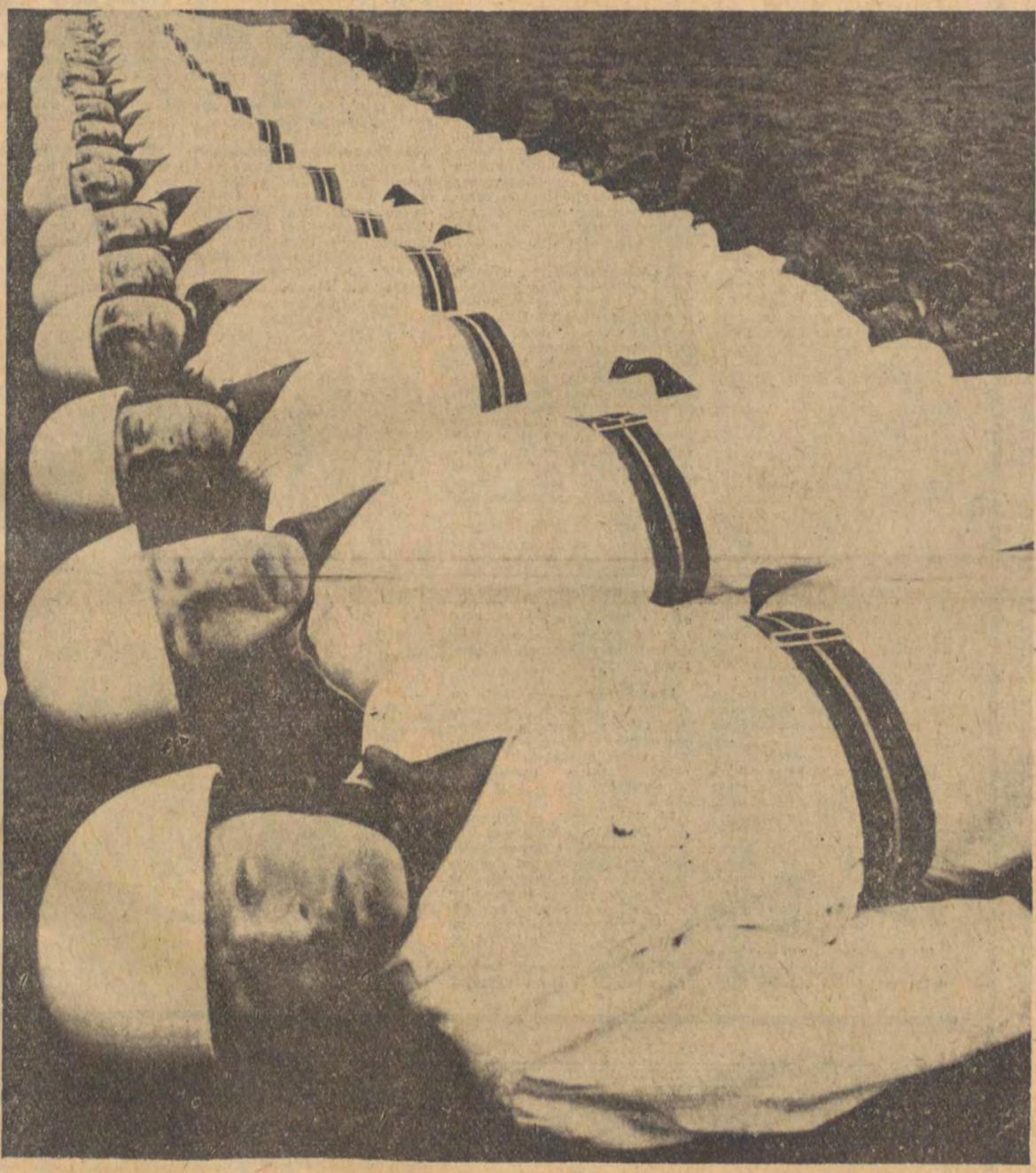
Dzień był jasny, pogodny. W taki dzień kto tylko może, pędzi na czterech kółkach poza miasto. Ruch na podmiejskich, przelotowych szosach jest wtedy duży, wypadki częste. Weekend staje się powoli synonimem czarnych dni na szosie. Pisk opon, przeraźliwy krzyk kobiety i stało się. Katastrofa nastąpiła pod Starowa Góra. Na asfalcie zderzyły się moskwicz i simca. Kierowca simci zginął od razu. Jego żona dawała jeszcze oznaki życia. W mgnieniu oka wokół szkatki samochodu utworzył się rozgorączkowany, gestykulujący, w najwyższej mierze podniecony tłum. Zatrzymano przejeżdżającego starą. Cieżko ranną kobietę ułożono pod brezentem i szofer dał gazu.

Gnał jak szalony. Cieżarówka rzucała na bok jak pijany wielbłąd. Wreszcie stanęła na dziedzińcu Pogotowia w Łodzi. Gdy lekarz dyżurny zbliżył się do chorej, już nie żyła. Po zbadaniu okoliczności wypadku lekarz oświadczył: — Stwierdzam z całą odpowiedzialnością, że ranna była do uratowania... Wiele kto ponosi winę za śmierć tej niewiasty?

Przed prokuratorem stanął młody człowiek. Oskarżenie brzmiało: odmowa udzielenia pomocy. Sprawa wyglądała poważnie. Na szosie pod Łodzią leżał ciężko ranny w wypadku samochodowym mężczyzna. I znów wkłóto rozpalone twarze, rozgorączkowane oczy. Co robić? Jak ratować rannego? Zatrzymano przejeżdżającą warszawę. Wzburzony tłum ogarnęło wpiery zdumienie. Jakże to, właściciel samochodu odmawia przewiezienia rannego do szpitala? Przecież to skandal. Po chwili zdumienie przerodziło się w zbiorową histerię. Kierowcę przemocą wyciągnięto z wozu i mało wtedy nie doszło do linczu. Dopiero interwencja milicji uratowała kierowcę z rąk rozwścieczonych ludzi.

Prokurator uznał, że przed wniesieniem aktu oskarżenia musi zasięgnąć opinii biegłego. Biegły lekarz orzekł bez chwili wahania, że kierowca postąpił słusznie. Co się więc kryje za tym wszystkim?

Kto ostatecznie miał rację, a kto jej nie miał? Dlaczego kobieta zmarła, choć powinna była żyć? Czemu kierowca został uniewinniony, choć odmówił przewiezienia do szpitala człowieka, z którego życie uchodziło bardzo szybko? Wszystkie te kwestie wiąza się w sposób oczywisty z pracą samego Pogotowia. W gruncie rzeczy są dość proste i twórca Pogotowia, doktor Jaromir Mundy, który w 1883 roku założył w Wiedniu pierwsze w świecie „Rettungsgesellschaft”, nie miałby większych trudności z ich rozwikłaniem. Tym bardziej należy się więc dziwić, że na temat pracy Pogotowia utarło się tak wiele niezrozumiałych opinii.



EWA SIEMIŃSKA

## Humor z egzaminów wstępnych

„Homo sum nihil novi...” — Terencjusza. W imię czego ludzie pasują się z fatalizmem wewnętrznym i zewnętrznym? Kiedy zaczęła się hegemonia człowieka i kiedy znajdzie swój kres? Pisarka nigdy nie neguje postawy niewiernej żony, wiecej, stara się ją usprawiedliwić. Dąbrowska nigdy nie odzęgnęła się od pełnej aprobaty życia. Cieszyły ją te „nowe rzeczy”. Oczywiście degradowali się oni przeważnie z owych przeciwników Mickiewicza — konserwatystów. O Renesansie: — Madrość bywała wtedy przewrotna jak kobieta. Nie można się pogodzić z zupełną krytyką naukowego światopoglądu, którego wrogiem jest Mickiewicz. O Kochanowskim: — Opisując kozła ma na

myśli swego krewnego, który był wielbicielem gorących trunków. O utworach Kochanowskiego: — Zawarł w nich poeta to wszystko, co miał wartościowe. „Treny” ukazują ból ojca, dla którego życie straciło wszelką wartość, będąc jednocześnie wzorem miłości rodzinnej. Zmysłowo działała na Kochanowskiego Magdalena. Jej alabastrowa ręka, różane usta, zęby do pereł podobne, lśniąco białoróżowe lico wywołuje u poety chęć posiadania Magdaleny, osiągnięcia tej miłości. Zmienił się stosunek pod tym względem do żony. Interpretacja fragmentu „Ody do młodości”: Istotnie człowiek stary, pochylony przez wiek ma mniejsze pole widzenia niż młodzieniec wyprostowany w pełni sił. Z zasady nie lubię „pisarzy w spódnicy”, ale w stosunku do Dąbrowskiej zająłem mniej wrogi stanowisko. Cytat: „Sam sobie sterem, żeglazem, odmetem, Goniąc za żywiołkami drobniejszego piazu”. Kilka dni temu przeglądałem rysunki May-Berezowskiej, które w pokażnej ilości są ilustracjami do utworów J. Kochanowskiego. Z rysunków tych bije zaduma, melancholia, śmiech, cała gama nastrojów przeżywanych przez człowieka. Obiekt ilustrowany sprawia wrażenie analogiczne, jednak swoją wiernością opisu, pięknem słowa bije o głowę malar-

ską twórczość Berezowskiej. Nie wiem, może moje porównanie — analogia jest niesłuszne, ale jedno mnie cieszy, że ono jest moje, własne, przez moje zmysły przeanalizowane. To nie skostniałi ojcowie bierni i ospali, — to odczuwający każdym ciałem swych dwudziestu kilku lat wszystką krzywdę i boleść — ludzie. Poeta widząc, że kraj nasz chylił się ku upadkowi, chce temu zapobiec, walcząc w obro nie ojczyzny diórem i papierem. Wynikiem jego doświadczeń i mądrości życiowej jest powieść pt. „Odpawa posłów greckich”. Rzeczy konieczne bywają często rzeczami najsłabszymi. O aktualności Kochanowskiego: — W obecnych czasach również staramy się zwalczyć walkę z alkoholizmem i jego skutkami. O Mickiewiczu: — Jest to poeta o bardzo silnej indywidualności, tworzący w chwilach potężnej erupcji. O Kochanowskim: — Osiągnął wiedzę, pieniądze, stawe mógł żyć do końca życia, ale taka jego forma nie odpowiadała mu. O Mickiewiczu: — Kochamy go za to, że

Dalszy ciąg na str. 5

Dalszy ciąg na str. 4





# Ten dymek z papierosa

Zacni panowie — sir Walter Raleigh i sir Francis Drake, admirałowie Jej Królewskiej Mości Elżbiety angielskiej zaiste nie byli przytomni co czynili przynosząc na królewski dwór zwitek liści, czyli TABAK, używany przez czerwonoskórych do odpędzania dymem złośliwych moskitów, tudzież „pobudzania do myślenia w chwilach ku temu szczególnie sposobnych”.

A potem poszło już bardzo szybko:

■ w roku 1590 za pośrednictwem ambasadora Nicot trafia (nikotylna?) na dwór francuski, który dyktuje modę na cały świat;

■ tytoń — bo o nim tutaj mowa — zaczyna być używany i traktowany jako lekarstwo;

■ pierwszy sprzeciw zgłaszają fakultety medyczne ówczesnych uniwersytetów, a król angielski Jakub I — nie licząc się ze sprzeciwem kupców — pisze plemienny traktat przeciw używaniu tytoniu;

■ rodzacy się konflikt wygrywa kupcy: częściowo metodą „mów mi do ręki” (koszt ok. 40 tys. talarów), interes przechwytuje Wenecja dając schronienie fabrykantom tabaki;

■ wiek XVII, wielki Colbert, minister Francji, ustala pierwszy w świecie monopol tytoniowy;

■ do Polski trafia tytoń przez ambasadora Rzplitej u Wielkiej Porty — Uchańskiego, a papieros — via Paryż przy czym swoją nazwę zawdzięcza papierowi, w który zawiano ścinki tytoniowych liści. Tak było wczoraj i przedwczoraj. A dziś

Na całym świecie wypala się w ciągu roku ok. 1.000 miliardów sztuk papierosów. Pod względem „spożycia” tytoniu, bezwzględny prym wierzają Anglosasi — pierwsze miejsce w świecie, Amerykanie (ok. 4 kg tytoniu czyli 4.000 papierosów „na głowę” rocznie) dalej idą Anglicy, a tuż za nimi — my, POLACY.

Według danych, które znajdują się w posiadaniu Zjednoczenia Przemysłu Tytoniowego, w roku 1966, polskie fabryki dostarczyły na rynek wewnętrzny 57,5 miliarda sztuk papierosów. Licząc więc z niemowlętami wypadło w ubiegłym roku na

każdą polską statystyczną „głowę” (czy może pluco?) ok. 1800 sztuk papierosów. Można jednak chyba przyjąć, że tylko co drugi Polak pali tytoń, stąd rachunek przedstawiałby się nieco inaczej: 1800 x 2 = 3600 czyli średnio 10 sztuk papierosów dziennie!

Uprawa tytoniu to ważna i dochodowa część rolniczej produkcji również w naszym kraju. W Polsce, w roku 1966, około 218 tysięcy rolników zajmowało się uprawą tytoniu, a obszar plantacji wynosił ponad 40 tys. ha.

Powiecie może: — No to jeszcze nie jest tak źle, „dziesiątka” to bariera bezpieczeństwa... Statystycy i lekarze odpowiadają na to innymi, chyba jeszcze bardziej niepokojącymi liczbami. Oto one:

rok 1950 — 30 miliardów sztuk  
rok 1955 — 37,5 miliarda sztuk  
rok 1960 — 45,6 miliarda sztuk  
rok 1965 — 53,5 miliarda sztuk

Liczyby te to nie innego jak dynamika stałego i bardzo szybkiego (do niedawna pod tym względem wyprzedzała nas w ŚWIECIE — Cze chosłowacja) wzrostu ilości wypalonych papierosów przez nasze społeczeństwo. W ciągu 4 lat przeskoczyliśmy w górę światowej tabeli „palaczy” o 3 miejsca — z 8 pozycji na 5. Ścisła czołówka — jakby to powiedział sprawozdawca sportowy.

Tak bardzo powszechny nałóg palenia tytoniu ma bardzo różne aspekty, ale na kilka choćby warto zwrócić szczególną uwagę. Na przykład?

**CZY WIECIE, ŻE...** wydatki na papierosy i wodke pochłaniają w polskiej rodzinie od 3,7 do 5,2 proc. rocznego dochodu?

**CZY WIECIE, ŻE...** bardzo wyraźnie rysuje się w Polsce tendencja do palenia coraz to mocniejszych papierosów takich jak „Extra-Mocne”, „Carmen”, „Caro”, czy z papierosów importowanych — „Ligeros” (kubańskie). Do tej samej grupy NAJSZKODLIWSZYCH papierosów zaliczają się „Sporty”, które stanowią aż 78 proc. papierosów sprzedawanych w Polsce.

Ala — po co ta mowa... liczb i faktów? Może, żeby się... samemu dać przekonać?

Tytoń przeznaczony na papierosy nie powinien być jednorodny, składać się on musi z ok. 20 różnych odmian. Przy tworzeniu tego „cocktailu” zatrudnieni są specjaliści o szczególnie wyrobionym zmysle smaku.

Błękitny dymek z papierosa. Najczęściej — wcale nie jest wrony, ale bardzo bardzo smrodliwy... Są ludzie, którzy bez papierosa nie potrafią skłócić jednego zdania, stają się nerwowi, nie wiedzą co zrobić z własnymi rękami.

Podobno nasz klimat sprzyja odrywaniu tytoniu o małej zawartości nikotyny. Nie można natomiast dobrze wyrażać się o biuście, w którą owijane są polskie papierosy.

Ten dymek z papierosa. Posłuchajcie co na ten temat lekarze i chemicy. Bo król Jakub miał jednak rację: wleślat lat później ludzie mocni w medycynie stwierdzili ścisły związek między występowaniem choroby Bùrgera a paleniem tytoniu. Inne dane są nie mniej alarmujące:

Jeszcze przed II wojną światową przeprowadzono (Uniwersytet Hopkinsa — USA) badania wcielając wywar tytoniu w skórę królików, wywołując raka; rak płuc jest przy czyną ok. 2,5 proc. wszystkich zgonów w USA, ale wśród mężczyzn pomiędzy 50 a 60 rokiem życia wskaźnik ten urasta obecnie do 6-7 proc.;

Bezspornie stwierdzono, że palenie papierosów ma bezpośredni wpływ na powstawanie zawałów serca, po woduje objawy bronchitu, braku apetytu, zadyszki. Do tej listy grzechów, których sprawcą jest ten błękitny tytoniowy dymek zaliczają także niektórzy objawy przemęczenia i zaburzeń żołądkowych, wyniszczenia i przedwczesnego wypadania włosów i siwienia.

Dosyć? Ile to już przestępstw — chyba wobec ludzkości, ma na swoim koncie owo złośkie przywleczone do Europy przez marynarzy z okrętów admirałów Drake'a i Raleigh'a.

Antidotum na rakotwórcze działanie tytoniu ma być wynalazek amerykańskiego uczonego — Nelsona Waterbur'ego. Zauważył on po licznych doświadczeniach przeciwaktywne działanie witaminy A. Stąd wniosek, potrzebne są papierosy... witaminizowane. FIR — papierosa wg pomysłu Waterbur'ego nasyca się kropelką witaminy A. Czego to ludzie nie wymyślą...

Zresztą nie chodzi bynajmniej o samą Nicotina rustica czyli o skutki spalania samego „czystego” tytoniu. Niezależnie od drażniącego działania nikotyny, palacz wchłania w trakcie palenia papierosa szereg innych substancji znacznie zmniejszających odporność organizmu — np. fenol. Badania amerykańskie dowiodły, że każdy wypalony papieros to około 35 miligramów różnych „smolek”, znajduje się tam również ok. 2,5 miligrama czystej nikotyny. Jak stwierdza w swojej „Farmakologii i toksykologii leków” dr med. J. Da dlez i dr med. P. Kubikowski „dawka śmiertelna nikotyny wynosi 50 mg, ale śmierć może jednak nastąpić już po dawce 20 mg”. Nikotyna wprowadzona do ustroju w ilości około 50 mg wywołuje w ciągu kilku minut śmierć przez porażenie ośrodka oddechowego.

Dosyć? Ile to już przestępstw —

Świat o tym już wie. Oczywiście, środowiska lekarskie i naukowe nie łudzą się, nie spodziewają się całkowitej eliminacji tej tak bardzo pospolitej używki. Sądzą jednak — ta opinia przeważa, iż przez uprzejmą informację doła się położyć skuteczną barierę przynajmniej przed nadmiernym zużyciem tytoniu. Wydaje się nawet,

że pierwsze skutki tego działania już są. Oto co w roku 1966 podała na podstawie badań przeprowadzonych w USA, Instytut Gallupa.

Jeżeli w roku 1960 procent palących tytoń lub papierosy mężczyzn wynosił w USA 45,8 — to w roku 1966 spadł on do 35,2 proc. Jeszcze większą dynamikę spadku zaobserwowano wśród kobiet.

Nacisk środowisk lekarskich przelał nawet bardzo silne opory stawiane przez ogromnie wpływowe koncerny tytoniowe — szczególnie w Anglii i USA (co np. wywołało ogromne rozszerzenie akcji reklamowej w tzw. kolorowych periodykach NRF; koncerny tak łatwo nie rezygnują z zysków!) i spowodowało zmniejszenie reklamy wyrobów tytoniowych, wprowadziło pewne restrykcje na palenie w niektórych miejscach publicznych czy też spowodowało (Wielka Brytania, kraje skandynawskie) umieszczenie na opakowaniu papierosów napisów wyjaśniających szkodliwość nikotyny.

Czy akcja ta przyniesie dalsze oczekiwane rezultaty? Trudno dać dziś jednoznaczna odpowiedź. Ale — niech, przynajmniej człowiek WIE CO SAM CZYNI. Reszta zależy od niego.

\* \* \*

Nie można się w tym miejscu ustrzec od postawienia pytania: co u nas w Polsce, czyni się dla poinformowania (przynajmniej!) społeczeństwa o jakże często tragicznych skutkach nałogu. W związku z takim stanem rzeczy chcemy postawić kilka pytań. CZY:

■ nie można by wprowadzić napisów ostrzegawczych na opakowaniach wyrobów tytoniowych?

■ w niektórych krajach wprowadzono już udoskonalone filtry. Czy... nie należałoby uruchomić produkcji dobrych papierosów odnikotynizowanych

■ szczególnie groźne dla zdrowia jest palenie „do końca”.

■ może warto zastosować na biuście papierosów znak ostrzegawczy? Zrobili to m. in. Bułgarzy i Jugosłowianie. Czy...

■ nie można praktycznie egzekwować zakaz sprzedaży papierosów młodzieży do 18 roku życia?

Wiem, wszyscy nie jesteśmy... harcerzami, ale może warto się zastanowić?



# Sztuka niesienia pomocy

Dalszy ciąg ze str. 1

Jedni twierdzą, że Pogotowie się spóźnia. Mieli z nim do czynienia przed laty i wtedy czekali na przybycie karetki kilka godzin. Dokładnie to pamiętają, bo ich krew zalewała. Inni utrzymują, że ci lekarze z Pogotowia jacyś nerwowi, wieszają się na jednej nodze i nie można z nimi spokojnie pogadać...

Co na to sami lekarze?

— „Wyjazdów jest dużo, około 300 dziennie w samej tylko Łodzi. Dawniej rzeczywiście było różnie, najczęściej źle i bardzo ciężko. Wycekiwanie na lekarza po kilka godzin należało istotnie do reguły. Szarpanina była ogromna. Sami lekarze też musieli mieć nerwy jak te przystawione postronki. To już jednak czasy niemal zamierzchłe. Zmiany są bez przesady kolosalne.

Obecnie uważamy, że coś wyraźnie szwankuje, jeśli chorego czeka dłużej, niż 20 minut. Tabor samochodowy jest wystarczający, proszę tylko spojrzeć na nasze garaże. Mamy już bezpośrednią łączność z izbami przyjęć w szpitalach. Naciskamy guzik i już jest połączenie. — Halo, jedziemy do was z rannym po wypadku. Gdy nasz wóz podjeżdża do szpitala, na chorego czeka tam już zespół lekarzy i pielęgniarek. Same karetki są wyposażone w radiotelefony. Operują w tak zwanych kwadrantach. Nierzadko karetką jest na miejscu, u chorego, zanim wzywający pomocy zdąży

wrócić z budki telefonicznej. Lekarz się spieszy? Tak, czasem się spieszy. Raz dlatego, że czeka nań już chorey, po drugie pomyłki, tak to nazwijmy, wciąż się zdarzają.

Ileż razy Pogotowie wzywa się do plannych, do rodzinnych kłótni i ordynarnych bijatyk. Nie zawsze wyciągamy z tego konsekwencje. Czasem w oczy bije taka niedza, że człowiek nie ma sumienia skierować sprawy do kolegium, choć z drugiej strony bieda nie może być pretekstem do szantażu. A tak bywa. W ośrodku pracy jest nieprawdopodobnie wyczerpująca. Na dłuższą metę trudno wytrzymać. Lekarz jedzie w nieznaną, w deszcz, mroź, śnieg i zawieruchę. Jest stale na czyjeś zawołanie i nigdy nie wie co zastanie na miejscu. Musi być zawsze przygotowany na najgorsze. Zdarzył się morderstwo przy ulicy Limbowej. Na wezwanie przybyła młoda lekarka. Zobaczyła skrważone zwłoki. Lekarka, psychicznie odporna przeciw osobie, dostała szpazmów, trzeba ją było zwolnić z dyżuru i odesłać do domu. Niedawno inną lekarkę wezwano do chorego, który leżał na placu Wolności. Gdy pochyliła się nad bezwładnym mężczyzną, ten nagle porwał się i z całej siły wyrwał ją w twarz. Nikt nie zareagował, nikt się nie pomógł lekarce, choć gapię stał wokoło gęstym wianuszkiem”.

Czy z tego taki wniosek, że choć warunki ciężkie i dziecinstwo Pogotowia było trudne, to praca wciąż się już teraz, bez jakichkolwiek zgrzytów?

Skądże. Taki wniosek byłby na pewno aż nadto pochopny. Szpitale mają na ogół dobre zaplecze i zdolnych specjalistów. Na ich wyposażenie nie szczędzi się czasu i środków. Inaczej Pogotowie. Mimo postępu, to wciąż kopciszek.

Nie pomyślano nawet o wprowadzeniu pragmatyki służbowej w Pogotowie. Mało tego. Po dziś dzień nie ma też w tej dziedzinie służby zdrowia żadnej specjalizacji. Można być specjalistą w chirurgii, pediatrii, ginekologii..., ale nie można być specjalistą z zakresu niesienia doraźnej pomocy. Nie można dlatego, że wciąż jeszcze taka specjalizacja u nas nie istnieje. Czy to nie nonsens? Jeszcze jaki. Dlatego właśnie ulemy świadczyć znakomite usługi lekarskie w szpitalach, nie zawsze jednak są one na

dobrym poziomie w miejscu wypadku. Nonsens dlatego jest duży, że wypadków jest coraz więcej. To pewna prawidłowość w epoce rozwoju mechanizacji.

To wielka sztuka być lekarzem — ratownikiem z prawdziwego zdarzenia.

Nie pomoże jednak ratownik — cudotwórca. Nie pomogą radiolązcy, szybkie karetki i szpitale w każdej dzielnicy. Nie pomoże najlepiej zorganizowana służba lekarska, jeśli człowiek traci życie w ciągu 3-5 minut. Aby uratować takiego człowieka karetką pogotowia musiałaby stać na każdym rogu.

Absurd jest więc oczywisty. Tymczasem człowiek niechybnie zginie, jeśli mu się nie zapewni błyskawicznej pomocy w ciągu krótkich, ale rozstrzygających o wszystkim 3 minut. Cały ten problem, dziwnym trafem wciąż nie doceniany, choć jeden z najważniejszych w czasach, w których żyjemy, sprowadza się do pomocy przedlekarskiej, a więc udzielonej przed pojawieniem się lekarza.

Ko ma ją świadczyć? My wszyscy. Milicjanci, strażacy, żołnierze, w ogóle duża część ludności powinna być przeszkolona w zakresie pierwszej pomocy. Być może okazała ratowania komuś życia zdarzy się tylko raz. Ale czy nie warto? Życie człowieka jest dobrem najwyższym i najcenniejszym. Iluż mniej mielibyśmy kalek, inwalidów, gdyby w tłumie rozhisteryzowanych gapiów, znalazło się na miejscu wypadku kilku ludzi zdolnych do udzielenia ofierze, pierwszej, przedlekarskiej, często najważniejszej pomocy.

Czasem o życiu lub śmierci człowieka decyduje jeden tylko ruch — czy ktoś z obecnych uniesie głowę rannego do góry.

\* \* \*

Na dziedziniec Łódzkiego Pogotowia wjeżdża warszawa. Na tylnym jej siedzeniu leży w pałak wygięty człowiek dwumetrowego prawie wzrostu. Nogi mu zwisają. Głowa ucieka do tyłu. Lekarz wpadł w rozpacz, gdy zbadał rannego. Motocyklista miał złamaną kręgosłup, a wrzucono go jak worek kartofli do pierwszej lepszej warszawy

w mocno wygiętej, zabójczej dla niego pozycji. Boże, to przecież jest zbrodnia. Każdy nierozsądny krok w takich okolicznościach to nic innego jak zamach na życie człowieka.

Czy kto ma złamaną podstawę czaszki, kręgosłup, miednicę czy biodro, tłum wie lepiej.

Tłum wie wszystko lepiej.

Terror, groźba, szantażem zatrzymuje pierwsze z brzęgu auto i z błogostawienstwem miłosierdzia wysła ofiarę wypadku na pewną i szybką śmierć. Tłum jest teraz spokojny. Jest nawet szczęśliwy. Dokonał przecież dobrego uczynku. Psychika tłumy w ślepych, obłądym działaniu. Smutne to. Także groźne. Jak za pociągnięciem sznurka wszyscy rzucą się hurmem na przejeżdżające auto, a nikt nie pomyśli, by rannemu, który stracił przytomność, przywrócić wpięty oddech, lub zatamować krew w przebitej tętnicy. Nikt nie potrafi kiwnąć palcem, by pomóc choremu w tych pierwszych najbardziej tragicznych minutach. Takie zachowanie tłumy nie jest czynem w jakowym. Przeciwnie, jest czymś zwykłym, niebezpiecznym przez swą codzienność. Więc to nie nawoływanie do bierności.

To nawoływanie do postawy jak najbardziej aktywnej.

Na pierwszy plan wysuwa się pomoc udzie lona choremu przed przybyciem lekarza. To już dziś kanon, za którym stoją wszystkie autorytety i wszystkie lekarskie sławy. Jeśli wypadek jest lekki, trzeba choremu udzielić pierwszej pomocy i zostawić na miejscu. Jeśli wypadek jest ciężki, tym bardziej nie należy rannego ruszać z miejsca. Nieodpowiedni transport, wadliwe ułożenie ciała może mieć katastroficzne skutki. Ten pogląd wyrażany jest nie w wahaniem i zastrzeżeniami, lecz w sposób ostry i bezkompromisowy przez wszystkich lekarzy Łódzkiego Pogotowia.

Zaś sztuka niesienia pierwszej pomocy jest dziś tak samo potrzebna, jak sztuka chodzenia po ulicy. To już element kultury, cywilizacji, to również sprawa życia i śmierci. Bo wypadek może przytrafić się każdemu.

JAN BABIŃSKI

## Humor z egzaminów wstępnych

### Dalszy ciąg ze str. 1

znał i kultywował młodzieńcze prawo do najbardziej choćby gwałtownego życia.

Wczoraj wieczorem dostrzegłem w pobliskiej aptece napis: „Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowiędzie, jak smakujesz, aż się zepsujesz”. Długo stałem obok wystawy. Dziwiła mnie myśl, która powstała w czyjejs głowie — myśl o umieszczeniu świetnej fraszki Kochanowskiego obok reklamy Avio-Marinu. Doceniam skuteczność, oddziaływanie psychiczne wielkiego poety, nie rozumiem jednak, dlaczego ludzie ceniąc ją, bezczeszczą ją jednocześnie.

„Siegał, gdzie wzrok nie sięga” — oznacza to by nowa fala, która swym prądem zaczyna ogarniać coraz większą grupę ludzi, nie brała pod uwagę tylko tego wszystkiego, czego można dotknąć, poruszyć. Inne sprawy mają również ogromne znaczenie.

Mistrzowie okresu Odrodzenia wypisali wiele inkantacji, wiele gestów zostało zabitych dla zdobycia piór i niejednokrotnie po to, by został napisany traktat o niemoralnym prowadzeniu się kleru (celowo uogólniam).

Szlachta polska dominowała w spożywaniu napojów alkoholowych. Prowadziło to do próżniactwa i lekkiego spędzania czasu.

Trzeba żyć biorąc przykład z bohaterów powieści M. Dąbrowskiej. Może i my kiedyś stwierdzimy, że życie jest piękne. Może i my — powachawszy te cudowne kwiaty wspomnień, których z każdą chwilą będzie więcej, bo to droga niebieskie ptaki marzeń będą stać się wspomnieniami.

Kochanowski kochał człowieka. Dlatego uczy żyć. Człowiek powinien kochać życie, bo życie człowieka jest największym darem, jaki otrzymał. Ale jednocześnie trzeba umieć żyć. Nie można przechodzić obojętnie, nie można kibicować.

Inaczej walka ta rozgrywała się na początku XIX wieku.

O Mickiewiczu: — Wydaje mi się, że chciał stworzyć nowego człowieka.

M. Dąbrowska była pisarką epoki pozytywizmu.

O Kochanowskim: — Pisał pierwszy, a trudno mu dorównać!

O frasce „Na lipe”: — Utwór jest bardzo sugestywny i zmusza odbiorcę do tego, by się zastanawiał, czy on też ma takie miejsce jak autor, w którym można spokojnie rozmyślać.

\*\*\*

Przytoczone fragmenty pochodzą z prac pisemnych kandydatów zdających na filologię polską. Na innych kierunkach też nie jest lepiej. Regułą egzaminów wstępnych

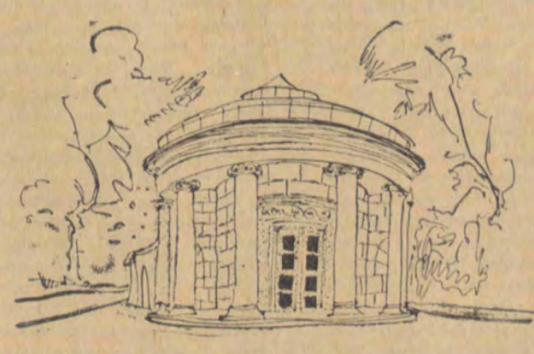
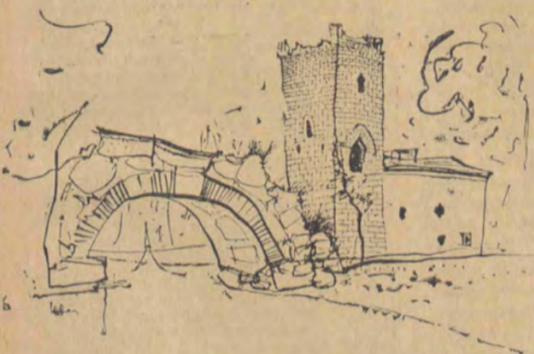
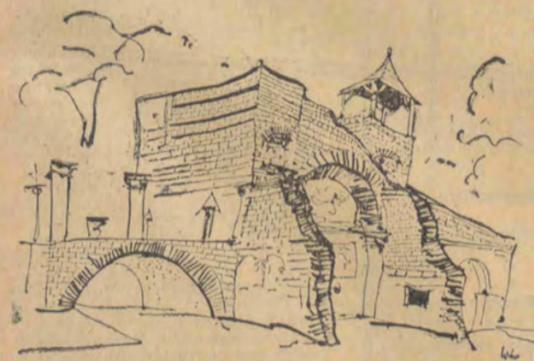
stała się już — niestety — duża ilość ocen niedostatecznych, sięgająca czterdziestu, a czasem i więcej procent wszystkich oddawanych prac. Piątki zdarzają się tylko wyjątkowo. Czwórki — też cenna rzadkość. Większość pozytywnych ocen stanowią więc marne dostateczne i to często z minusem. A przecież kandydaci legitymują się na ogół dobrym świadectwem maturalnym.

Cała sprawa posiada dwa bardzo ważne aspekty, a każdy z nich stanowi nie lada problem. Jeden — to kwestia bardzo szczerzego zasobu wiedzy kandydatów zgłaszających się na studia. Drugi — rozbieżność pomiędzy ocenami ze świadectwa maturalnego a faktycznym stanem umiejętności i wiadomości zdającego.

Artykuł pod identycznym tytułem publikowaliśmy z okazji egzaminów wstępnych w ubiegłym roku. I wtedy również obserwowaliśmy te same niepokojące zjawiska, które obecnie sygnalizujemy. Sprowokowały nas one wówczas do podejrzeń, czy nie dać wiary pogłoskom „iż szkoły wykonują swolisty plan produkcyjny — ilość kosztem jakości”. Widać sformułowanie było zbyt mało drastyczne — nikt nie zabrał głosu w tej sprawie, nikt się nawet nie obraził. A może istnieje tu cicha zмова milczenia, więc lepiej się „nie wychylać”, a jeśli ktoś zaczepia, udawać, że się nie słyszy i nie widzi? O tym, że nie wskazane jest, aby ilość ocen niedostatecznych w danej klasie przekroczyła taki a taki procent — wróble już ćwierkają na dachu. Widać wskazane jest te posiadają magiczną moc oddziaływania, skoro nauczyciel woł zapomnieć o zgodzie z własnym sumieniem i podrywać swój autorytet niezastępowanymi ocenami pozytywnymi, niż nastawiać dwój „ponad normę”. W efekcie — szkoły posiadają co prawda niezłą markę w kuratoriach i uznanie władz szkolnych za „dobre” wyniki w nauczaniu, ale ich abiturienti idą w świat niedouczeni. A przecież jest to sprzeczne z zadaniami wychowawczymi naszej współczesnej szkoły: jeśli młody człowiek wie (nie ludźmy się — młodzież takie rzeczy wyczuje najbardziej), że może prawie nic nie umieć, a i tak otrzyma ocenę pozytywną, to nie dziwne, że przyzwyczajają się do bierności postawy wobec otaczających go zjawisk. I nie oczekujemy od niego, że potem obojętnie zabierze się do pracy. „Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość traci”. Może dla niektórych maturalistów oblane egzaminy wstępne na wyższe uczelnie będą wystarczającym ostrzeżeniem. Może zdolała ich zachęcić do intensywnej pracy nad sobą, by za rok jeszcze raz popróbować szczęścia. Wielu przestaje jednak na tej jednej, nieudanej próbie. Z konieczności usamodzielnia się, pójdą do pracy.

Wnioski z bardzo niedobrych egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie powinny wyciągnąć czynniki odpowiedzialne za poziom nauczania w szkołach średnich. Przemykanie oczu i brak reakcji na tak alarmujące zjawiska jest bardzo krótkowzroczna polityka. Już teraz można się o tym przekonać. Oczywiście, o ile ktoś chce się przekonać. To smutne — wielu maturalistów chciałoby się powiedzieć w czasie egzaminów wstępnych: pójdź dziecko, ja cię uczyć każę. I zaprowadzić do szkoły. Prawdziwie dobrej szkoły, nie takiej, w jakiej otrzymali swoje świadectwa dojrzałości.

EWA SIEMIŃSKA



#### SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Sami nie wiemy, że żyjemy właściwie w kraju cudzoziemskim — mamy na przykład Paryż północny, polska Padwa, polska Florencja, polska Wenecja, polski Manchester, polska Szwajcaria, polskie Carcassonne i tak dalej, i tak dalej. Nie musimy się więc starać ani o wiza, ani o paszporty, ani wydeptywać przedpokoje ministerialne, ani też czepiać się klamek BARDZO WAŻNYCH URZĘDÓW. Wystarczy skromny bilet kolejowy czy autobusowy — i już jesteśmy w Europie. A jeśli chcemy na wschód — to proszę bardzo. Już się robi! Wsiadamy w jakikolwiek pociąg mechaniczny i za godzinę jesteśmy w Arkadii, tyle tylko, że polska Arkadia nie posiada skalistych gór, czarownych wozów z kryształowymi wodospędzami i brzegów oblanych słonecznym morzem. Swojego czasu, w roku 1778

księżna Helena Radziwiłłowa, jako że miała bardzo dużo pieniędzy, wpadła na pomysł, aby na mokradłach porośniętych olszami, nad rzeczką Skierniewka niedaleko Łowicza, obok Nieborowa urządzić kawałek Grecji. Ale takiej francuskiej, gdzie żyłoby się po pastersku, z grecką po francusku. Coś w rodzaju pana Poussina lub pana Watteau — sielankowo, nastrojowo, sentymentalnie i niesłychanie arystokratycznie — zupełnie w guście epoki. Kazała więc pobudować między kępami drzew, krzewów i zagajników tajemnicze i pełne uroku budowle: Świątynię Diany, Przybytek Arcykapłana, Dom Murgrabięgo, Domek gotycki, Jaskinię Sybilli, Akwedukt, Grobowiec Złudzeń, Obelisk, Polną Elizejską, Jezioro, i wyspy uczuć.

Księżna Helena pisała: „Aby nadać powab sztuce trzeba wzbudzać w widzu najrozmaitsze uczucia, trzeba mu dać przebiec wszystkie wrażenia podziwu, wesela, tęsknoty, pochwyć niespodziewanie i kontrastowo myśli jego wciąż i wciąż nowym obrazem, aby jej nie dać spocząć na chwilę, ostygnąć i uprzytomnić dopóki się jej nie opanuje potęga zachwyty”. Dzisiaj nie już nie „chwytają kontrastowo i niespodziewanie” — wszystkie podziwy utopione są w kłobkach gęstej zieleni i nawet cudowne, mające być nie spodzianką budowle skryły się w zielonych gąszczach, a jezioro przemieniło się w staw i pokryło gęstym kożuchem rzęsy. Ani łabędzi, ani złotoczystych todzi z nimfami, ani Posejdona płynącego w otoczeniu Nereid i Trytonów — ani Panien Wodnych kuszących syrenim śpiewem na schodach świątyni pod Sifinksem. Za czasów pani Heleny wytworne koziołki, capki i bohajki wypadały zlenacka z krzaków dzierżąc w dłoniach kielichy i wołając gromko: „Evoe Bacche!” — gonili arkadyjskie jałówki o ukwieconych kapeluszach i dopadały je w cionistych ustroniach.

przegrzywały na flecikach i bębenkach — od zachodu słońca do późnej nocy przy blasku księżycy lub pochodni nad brzegiem jeziora — stawu. Zapewne bogowie parkowi przy trelach słowiczych układał wiersze dla zastuchanych nimf, a uśmiechnięty pan wyglądał z zarośli mrugając koźlimi oczkami. Być może przegrzywała im muzyka pana Vivaldiego albo pana Couperina. Dzisiaj w arkadyjskim parku cicho jest i zielono, wszystkie Uroki, Zachwyty, Sentymenty, Uczucia i Piękności uleciały bezpowrotnie. Niedaleko stąd jest do Bolimowa. W Bolimowie robj garniki i dzbany Konopczyński, na dzbanych maluje ptaki i kwiaty jego siostra. Konopczyński jest samotny; — ma rzetelną twarz uczciwego człowieka. Jego drbany są duże i białe — malowane ptaki na nich czyste i piękne w rysunku. Konopczyńscy są bardzo skromni; — swoją pracę traktują tak poważnie, że światła poza nią nie widzą. Dzbany zakupuje od nich „Cepelia” i rozsyła po wszystkich sklepach w Polsce. Bolimowskie drbany znane są na całym świecie. „Cepelia” za duży, piękny dzbany płacił Konopczyńskiemu dwadzieścia złotych. Sprzedaje go za złotych sto, albo i więcej. (Kierownictwo dużego sklepu „Cepelia” przy Piotrkowskiej jakoś nie mogło nie wiążącego powieścić na temat sprzedaży i kupna bolimowskich dzbanów). Nazwę miejscowości wymawia się zwręcznie — tak jak się pisze: Bolimów — a nie żadne polskie Vallouris czy Kerameikos. Tu nie ma żadnych zagranicznych nazw. Tu jest zwyczajny, rodzimy kant. Cepeliowski. Łączę wyrazy szacunku.

WACŁAW KONDEK

# Ludvig Holberg

## — duński Molier (1684 — 1754)

(na marginesie polskiej prapremiery  
„BLACHARZ BURMISTRZEM”  
w Łódzkim Teatrze Nowym)

Rozejrzyjmy się w teatrze Holberga. Jedno jest niewątpliwe: pod względem oryginalności dramaturgicznej i wyobraźni teatralnej autor duński nie dorównuje wielu mistrzom komedii. Będąc pionierem, działającym w próżni, bez rodzimej tradycji, musiał korzystać z różnych wzorów, musiał się zapożyczać. Ale wybór nauczycieli jest znamienity, świadczy i o rozeznanii i o smaku. Interesował się żywo współczesnym sobie teatrem, i w Kopenhadze, i w czasie podróży zagranicznych, w Paryżu oglądał sztuki Moliera, w Rzymie poznał włoski teatr improwizowany (commedia dell'arte). Jako wytrawny erudyta, rozczytywał się w klasykach; owoce tych lektur są widoczne w jego komediach. Praktykował więc u Arystofanesa, u Plauta i Terencjusza — z tymi ostatnimi zapoznał się już w szkole — uczył się warsztatu u znakomitej spółki angielskiej, u Beaumonta i Fletchera, znał dramaty starożytności Hansa Sachs'a. Przede wszystkim orientował się na Francuzów: ogromnie wiele zawdzięczał Molierowi, bliscy byli mu autorzy komedii pomolierowskiej, Marivaux, Destouches, Boursault, i głównie za pośrednictwem Francuzów poznał fascynujący teatr improwizowany, jeszcze w końcu XVI wieku przewieziony przez Włochów do Paryża. Był to tzw. Théâtre Italien.

Nawiedzone tu liczne źródła w niczym wszakże nie pomniejszają jego oryginalności. Pomijając rozpowszechniony bardzo w tej epoce zwyczaj mniej lub bardziej twórczych przystosowań, zwyczaj, wyklucający zupełnie posądzenie o plagiat, nie można sobie wyobrazić komediopisarza, który by nie czerpał pełną garścią ze sprawdzonych środków i technik. Nie inaczej postępował Holberg. Tyle, że obce motywy czy schematy przyporządkowywał swoim zdarzeniom i postaciom. Bez tej umiejętności byłby niewolniczym naśladowcą. Co ważniejsze, potrafił przekazywać własne doświadczenia osobiste i społeczne, wzbogacone nadto doświadczeniem badacza i uczonego. Już w młodości, w ramach studiów filozoficznych, interesowały go żywo problemy przeciwieństwa, sprzeczności i rozdarcia ludzkiej natury. W jednej z satyr z tego okresu zauważył, że człowiek w każdym momencie swego życia natyka się na Proteusza. Gdyby z tego punktu widzenia przyjrzeć się jego bohaterom, np. Hermanowi, Janowi z Francji czy Jakubowi z Tybos, to nie odnajdziemy w ich postępowaniu jakiegoś pęknięcia, antynomii. Są to charaktery zdrowe, mocne, nie podlegające głębszym rozterkom. Wydaje się zresztą, iż takich skrzywionych osobników pokazać nie mógł. I to z wielu względów.

Pamiętamy, że Dania w wieku XVIII wkraczała w okres stabilizacji, zaczęła odczuwać wszelkie dobrodziejstwa pokoju i do brobytu. Emancypujące się mieszczaństwo, dostatnie, psychicznie zdrowe, było pozbawione większych kłopotów, nie doznawało gwałtowniejszych wstrząsów, żaden ruch nie podważał istniejącego stanu. Kraj, daleki przecież od arkadyjskiej beztroski, potrzebował sztuki narodowej, która by dokładnie penetrowała i opisywała jego rzeczywistość, ustalała jakieś normy i wskazania moralno-wychowawcze. A jakaś rangę przynosiła Oświecenie sztuce teatralnej jako instytucji wychowawczej, łatwo się o tym przekonać, analizując późniejsze nieco programy teatralne, polskie czy niemieckie (koncepcja teatru stanisławowskiego, działalność Lessinga, schillerowska formuła „Theater als moralische Anstalt”).

Toteż Holberg jako twórca duńskiego dramatu zupełnie świadomie realizował program dydaktyczny w duchu oświeceniowym. Chodziło teraz o znalezienie właściwej konwencji, nie tyle formalnej, co ideologicznej. Dla tych celów wzór molierowski był mniej przydatny, natomiast bliższa okazała się komedia pomolierowska z takimi autorami jak Regnard, Dufresny, Dancourt. W tej grupie niezmiernie ważny jest Dancourt, którego „Kawaler modny” (Chevalier à la mode, 1687) dał początek tzw. komedii obyczajowej. Wprawdzie spłycała ona charaktery i uproszczała psychologię, to jednak rozwinęła technikę komizmu sytuacyjnego i element satyryczny, dzięki czemu stała się poniekąd sztuką zaangażowaną. Dalszy jej rozwój to komedia dydaktyczno-moralizująca, która niebawem przerodziła się w tzw. komedię piaczkową. Otóż wydaje się, iż Holberg przyswoił sobie założenia komedii dydaktyczno-moralizującej z pozytywnym bohaterem; kontynuując molierowską komedię charakterów stawiła sobie za cel pouczenia przez zabawę. Najwybitniejszym przedstawicielem we Francji był Destouches. Innym wybitnym autorem, bliskim Holbergowi, był Marivaux, w dużej mierze nawiązujący do doświadczeń teatru włoskiego.

Oczywista, nie odnajdziemy w komediach Holberga ani szerokiego horyzontów poznawczych, ani subtelnych analiz psychologicznych, ani finezji roboty dramaturgicznej. Jego świat jest nawet dość ograniczony, mały, jak mały był jego kraj. Można by powiedzieć, iż wielki oddech Szekspira lub Moliera był jakby oddechem ich wielkich krajów. Holberg nie radził sobie również z kunsztem rozwijania charakterów postaci, są statyczne, niemal nie rozwijają się w ciągu akcji. Jest to brak znaczący. Ale te wszystkie niedostatki Duńczyk rekompensuje

niezmiernie interesującą techniką budowy głównej postaci, która pochłania całkowicie uwagę. Najdoskonalszym przykładem jest Herman w naszej komedii. Ustawienie konfliktu oraz wybór i rozplanowanie sytuacji wysuwają Hermana w centrum, cała akcja służy uplastycznieniu tej tylko postaci. Następnie Holberg — jak w molierowskiej komedii charakterów — wydobywa tylko jedną cechę, jedną właściwość swoich bohaterów, i ona określa i dynamizuje akcję. Akcentowana właściwość charakteru staje się jedynym „tematem” demaskacji, autor rozprawia się tylko z nią, lecz nie uogólnia tej wady, nie dyskredytuje przez nią bohatera. Tkwi w tym jakaś mądrość, może i dobroć, nie pozwalające autorowi na totalną negację. Inaczej niż np. Molier, który absolutnie kompromituje Świątoszka czy Skapca, Holberg widzi poza tą jedną przywarą wiele pozytywnych wartości, choćby przykładowo w Hermanie. Natomiast nowością w kreowaniu wiódzącej postaci, nieznaną dotąd europejskiej komedii, jest to, że Holberg ośmiesza swego bohatera za pomocą pytań, zaczepnych, złośliwych, kompromitujących. Bierze go w krzyżowy ogień pytań, stawia jakby przed trybunałem, gdzie trzeba skła-

bliższe otoczenie, stosunki społeczne, przez historię. Niemożliwością byłoby wyprowadzić ich z tego kontekstu. Wierzymy, że tak wyglądało życie w ówczesnej Danii. Bo to tylko życie śledził i opisywał.

Ściśle przestrzegając klasycznych reguł jedności, jeszcze silniej spaja tę rzeczywistość, nasycając ją pewnym chłodem tak typowym dla dramaturgii skandynawskiej. Klasycystyczna struktura wynika niewątpliwie i z jego rozumowo-konstruktywnego myślenia, które nie pozwala mu przekroczyć granic sprawdzalności. Tenże rozsądek w połączeniu z dobroduszością mieszczańską, nie wyostrza tonu jego wypowiedzi, nie przeobraża ich sarkazmem: więcej w nim pogodnego komizmu niż gniewnej, piekającej satyry, chociaż ten komizm w najlepszych sztukach osiąga stopień mistrzostwa. Nie przytłumiło to wszakże wymowy społecznej jego teatru, czuł się nauczycielem i wychowawcą swego społeczeństwa. I całą swą twórczość poświęcił tej sprawie. Walczył więc o wykorzenienie wad i skrzywień życia duńskiego, krytykował nadużycia urzędników i nietolerancję duchowieństwa (m. in. „Czary, czyli Głuchy hałas”), ośmieszał importowaną (z Francji) modę i jej hołdowników („Jan z Francji”), kpił z głupców, ubiegających się o tytuły i zaszczyty („Don Ramudo de Colibrados”), nie oszczędzał i nadętej uczoności („Erasmus Montanus”).

W „Blacharzu burmistrzem” pragnął się rozprawić z postawą szczególnie szkodliwą w płaszczyźnie gruntowania mentalności mieszczańskiej, ustalania wzorców właści-

Morał był oczywisty, łatwy do rozpoznania. Ale panując nad warształem dramaturga, znając prawo rozrywki, wiedział doskonale, iż należy unikać wszelkiego natrętnego kaznodziejstwa; potrafił przeto każdy morał wyprowadzić z zabawy, z gry, ze zreżymowanej intrygi. Wypowiadał się przy tym prosto i lekko. Tym większa jego zasługa, iż sam przecież formował duński język literacki. Nic więc dziwnego, iż wywarł tak doniosły wpływ nie tylko na dalsze dzieje teatru duńskiego, lecz i na rozwój języka i literatury duńskiej i norweskiej: w obu tych krajach początek XVIII wieku nazywa się „wiekiem Holberga”.

## Wywiad z autorem

Od redakcji:

Doc. dr Stanisław Kaszyński jest pracownikiem naukowym UL. Jego działalność naukowa wiąże się przede wszystkim z teatrem, z teatrologią.

Czytelnicy „Odgłosów” znają Stanisława Kaszyńskiego z licznych szkiców krytycznych i publicystycznych, których przedmiotem jest zarówno teatr, jak i literatura.

Pisze także felietony, reportaże, wydał tomik wierszy („Poszukiwanie krajobrazu”); przełożył kilkanaście sztuk i słuchowisk jugosłowiańskich, austriackich i niemieckich oraz wiele opowiadań i utworów poetyckich z tych języków.

\* \* \*

**ODGŁOSY:** — W roku 1962, nakładem LTN, ukazała się pańska monografia: „Dzieje sceny kaliskiej 1800—1914”. O ile nam wiadomo — praca ta była pomyślana jako pierwszy tom historii teatru kaliskiego?

**ST. KASZYŃSKI:** — Tak. Przygotowuje obecnie do druku drugi tom „Dziejów Sceny Kaliskiej”, który ukaże się nakładem Kaliskiego Towarzystwa Historycznego.

**ODGŁOSY:** — Jaki okres obejmie ta praca?

**ST. KASZYŃSKI:** — Będą to lata 1800—1960. Staram się szeroko przedstawić historię teatru kaliskiego w okresie międzywojennym, a również po drugiej wojnie światowej, kiedy to scena kaliska przeżywała — przeżywa nadal — renesans. Ale niejednokrotnie powracam jeszcze do czasów wcześniejszych, do momentu, w którym teatr kaliski powstawał i stawał pierwsze kroki. Niezwykle ciekawe są obyczaje teatralne w dziewiętnastym wieku — ciekawy jest mechanizm administracji teatralnej, sprawy kontraktów aktorskich i dyrektorów, sprawy mecenatu, repertuaru, zainteresowań społecznych i, wreszcie, warunków lokalowych...

**ODGŁOSY:** — Jako Iodzia — jest Pan, może z konieczności, związany z problematyką teatru łódzkiego...

**ST. KASZYŃSKI:** — Dlaczego — z konieczności? Mam o naszej scenie bardzo dobre mniemanie. Co więcej: napisałem obszerną monografię o powojennym teatrze łódzkim, która ukaże się w przyszłym roku w Wydawnictwie Łódzkim. Chętnie z łódzkimi teatrami współpracuję. A już szczególnie chętnie — z Teatrem Nowym, dla którego przełożyłem ostatnio duńską komedię Ludwiga Holberga (rapremiera odbędzie się w lipcu), i który nigdy nie stroni od ambitnych sztuk.

**ODGŁOSY:** — Esei, który na tej kolumnie towarzyszy naszej rozmowie, jest wyprawą daniem do życia i twórczości Holberga. Nie jest to chyba szkic pełny?

**ST. KASZYŃSKI:** — Nie, to zaledwie fragment. Obszerniejsze studium z życia i twórczości „duńskiego Moliera” ukaże się w programie teatralnym.

**ODGŁOSY:** — Znane są Pańskie zainteresowania teatrem i literaturą jugosłowiańską. Czy znajdzie to potwierdzenie w jakiejś szerszej pracy?

**ST. KASZYŃSKI:** — Przekładam dramat „Obilic” Milutinovića. Mielikiewicz mówił, że jest to jeden z trzech wzorców, monumentalnych dramatów słowiańskich — obok „Nieboskiej Komedii” Krasinskiego i „Borysa Godunowa” Puszkina. O „Obilic” zamierzam także napisać książkę. W dalszej perspektywie — książka o polsko-austriackich stosunkach teatralnych, może i monografia o T. Pittnerze.

Rozmawiał:  
ANDRZEJ MAKOWIECKI

## Tadeusz Gicgier

### DRWAŁ

Huk mechanicznych pił  
zagłuszył krzyk drzewa:  
wydało mu się, że przynicie człowieka.  
Lecz człowiek  
przytrzymał drzewo na linie  
jak na smyczy  
i spuścił je  
dopiero wtedy,  
gdy poczuł się bezpieczny.  
Upadło  
oddając ducha:  
wyciąg drzewnego zapachu,  
lecz człowiek  
zaciągnął się papierosem,  
usiadł na pniu  
i rozważał,  
jakby to było dobrze  
na pniu sprzedać  
te kilka hektarów lasu  
i zrobić dobry interes.

dać zeznania. Scena zamienia się w sąd, a „oskarżonego” przesłuchują wszyscy bez mała, wszyscy przypierają go do muru. Słowem technika przesłuchania „podsądnego” gwarantuje spełnienie zamiaru autora a mia nowicie ośmieszenie.

Inną nowością jego komedii są postaci służących, którzy mają ważniejszą pozycję niż u Moliera czy Goldoniego. Cóż za pyszne indywidualium taki Henryk. To już nie tylko spryt i szelmstwo, jego doświadczenie i wiedza o życiu są zdumiewające, jakby nie na miarę tej epoki. Otwierająca się przed jego panem kariera postanawia skwapliwie wykorzystywać, nie tylko widzi, lecz i trafnie ocenia szanse swego awansu do „rządzącego aparatu”. Świetny jest ten konterfekt szczywanego karierowicza i oportunisty.

Każda postać z jego komedii reprezentuje przy tym kogoś konkretnego, mamy przedstawicieli różnych pokoleń, stanów, zawodów, często też uosabiają oni jakąś postawę czy tendencję. Są to zatem ludzie mocno osadzeni na ziemi, żyjący w dokładnie określonej społeczności, w precyzyjnie przedstawionym środowisku, silnie związani ze swą profesją, z obyczajem, nawet z narzędziami pracy, zindywidualizowani przez dom, naj-

### Ballada o śpiewającej

Ten księżyc rodem z ballady  
na srebrnej strunie pobzmiewa  
a ona stoi na moście,  
a ona stoi i śpiewa.

Dwie sosny sterczą wyniośle  
z prawa księżyc a z lewa,  
a ona stoi na moście,  
a ona stoi i śpiewa.

Góra się noszą obłoki,  
dołem się rzeka przelewa,  
a ona stoi na moście,  
a ona stoi i śpiewa.

A ta piosenka o szezęściu  
takim, że serce omdlewa,  
a ona stoi na moście,  
a ona stoi i śpiewa.

Miną jesień i wiosny,  
powodzie podmyją drzewa —  
ona stać będzie na moście,  
ona stać będzie i śpiewać.

Nie ma poezji w tych zwrotkach,  
waga krytyczną ich nie waży:  
poezja stoi na moście,  
ona tam stoi i śpiewa.

wego postępowania. Historia Hermana z Bremy jest historią rzemieślnika, który pod wpływem „lektur”, a i z poduszeczą swoich sąsiadów, postanawia obrać karierę polityczną. Jest przekonany — otoczenie potęguje w nim jeszcze to przeświadczenie, że jego mądrość polityczna predestynuje go do odegrania ważnej roli w życiu politycznym. Tę jego słabość wykorzystują ludzie stateczni, i duński Jourdain, podobnie jak jego pierwowzór molierowski, daje się wciągnąć w intrygę. Marzenie się spełnia. Blacharz, oczadzony pochlebstwami, oślepiiony blaskiem godności niespodziewanej, wchodzi w swą rolę. Metamorfoza jest tak szybka, że przekreśla z punktu całą swą biografię, porzuca pocziwając pracę, odzignuje się od swego fachu. Grozi to nie tylko materialną ruiną rodziny, co podkreśla praktyczny Holberg, lecz oznacza to przede wszystkim naruszenie naturalnego porządku społecznego, opartego na pracy. Nie mógł, naturalnie, Holberg dopuścić do takiego rozwiązania, stąd też Herman składa w końcu... samokrytykę. Krytykując indolencję i dyletantyzm, piętnując niedojrzałość, zamknął swą przypowieść pochwałą rozsądku i rehabilitacją pracy.



## Dwie sceny Teatru Jaracza

Teatr Jaracza prócz „ciężkiej artylerii” z gatunku „Rozmowy” i „Namiestnika” ma również w repertuarze lżejszy rodzaj, którym na drugiej scenie „7.15” bawi amatorów rozweselonej muzy.

Zabawa jak zawsze, jak wszędzie jest potrzebna każdemu, chociażby nawet udawał, że nic go ona nie obchodzi. Bywa, że taki zatwardziały udawacz cierpi na migreny, kompleksy, hipochondrię, nieżyty, zgagi itp. dolegliwości, nie zdając sobie sprawy z faktu, że przyczyna tego cierpienia czy cierpienia leży w braku rozluźnień psychicznych i wyładowań optymistycznych. Najbardziej nieoczekiwane skandale i pokretne namietności są najczęściej dziełem i przypadłością ponuraków oraz sztywniaków. Nie myślę, oczywiście, o ludziach zbyt zaabsorbowanych, przeżywających tragedie i chorach.

Już chociażby tylko ze względu na terapeutyczne właściwości nie można Teatru 7.15 lekceważyć, wręcz przeciwnie — trzeba go oceniać surowo.

Zabawa uczy ludzi kultury. Zabawa uczy publiczność teatralną kultury. W zabawie na scenie ujawnia się najprędzej kultura aktora.

Farsa nie jest łatwym gatunkiem scenicznym. Wymaga płynności, tempa, polotu, no i oczywiście, lekkości — powiedziałbym „mimowolności” gry, co jest niesłychanie trudne do wyreżyserowania.

„Paryżanin” Claude Hagiera jest farsą z wszystkimi bez mała zaletami tego gatunku. Farsa ta, współczesna zarówno problemowo jak i językowo, wymaga tak od reżysera, jak i aktorów współczesnych środków wyrazu artystycznego, bez stosowania stereotypów komediowych. Oczywiście aktor to artysta a nie robot;

nie w każdym spektaklu może być w równym stopniu pochłonięty zabawą, niekiedy musi sięgać do repertuaru wypróbowanych gier i wówczas wyłazi tradycyjna, że tak powiem, komediowość, macac klarowność współczesnej farsy.

Odniosłem wrażenie, że część tych zamącań na spektaklu, który oglądałem — wynikała z przyczyn wyżej wyluszczonej, a spora ilość z reżyserii. Bo jeżeli lekkość jest trudniejsza niż patos (moim zdaniem), to przewracanki, wypinanki, objanki, są najłatwiejsze zarówno do odegrania jak i do nieodegrania czy zgola usunięcia.

Glaise d'Ambrieux, beztrocki i pełen cynicznego wdzięku malarz, to rola nader spon taniczna, można ją — czy trzeba „zaprogramować”, ale nie należy — czy nie da się — „twardo” ustawić. Toż czuło się w tej roli dużą dowolność środków kreacyjnych u Krzysztofa Chameca.

Odnosiło się wrażenie, że ten niewatpliwie utalentowany aktor, bawił się tylko „miejscami”, resztę załatwiał rutyną.

Bardzo świeżo i z dużym zapalem Barbara Wałkówna wcieliła się w postać Marie Bretonki. Chyba lepiej, że ciążyla raczej w kierunku gro teski, niż sztampy komediowej. Zbigniew Jabłoński (Pan Cariero), (Feliksa Zukowskiego w tej roli nie widziałem) popełniał ten grzech przeciw ko współczesnej farsie nieco za często; zresztą przyzwyczai liśmy się już do tego, że bogaty przemysłowiec musi być po błaznisku śmieszny; co za tym idzie nie może być inną jego żoną: Zofia Wileżyńska, ani córka Laura: Maria Wilhelm.

Genevive, modelka znalazła dobre ucieleśnienie w Ali nie Kulikównej, która bardzo

współcześnie i z wycuciem la wrowała między posłannictwem muzy malarza, a obowiązkiem konkubiny przemysłowca.

Irena Burawska jako Pepita Hiszpanka, dostroiła się do całości i niewatpliwie duch corridy unosił się nad sceną, gdy wchodziła do sypialni trzaskając kastanietami.

Zelislawa Malska w roli Ariany, osoby narwanej, starała się uzasadnić ten nieco przesadny epitet autora sztuki.

Kto jak kto, ale Henri Poulain może dać odpowiednią oprawę „Paryżaninowi”. Uczył to w sposób lekki i do te-

go stopnia dowcipny, że gdy tempo akcji nieco słabło — było się czym pocieszyć.

### II

Tenże sam teatr Jaracza, ale już nie w teatrze 7.15, lecz na swej trzeciej scenie w teatrze „Rozmaitości” wystawił sztukę Aleksego Arbuzowa pt. „MÓJ BIEDNY MARIK”. Dobrze mieć tyle scen, bo można wystawić równocześnie wiele i różnych sztuk w różnych pionach i poziomach scenicznym.

Myślę o tym, że „Mój bied-

ny Marik” posiada specyficzne walory.

Może nie powinno się obnażać swoich tkliwych stron, ale pierwszy raz od czasu mojej działalności recenzentkiej uczułem prawdziwe, proste, zwyczajne wzruszenie, którego źródłem jak mnie mam, jest czystość. Czystość uczuć, które towarzysza poczynaniom młodych ludzi: Lidki (Joanna Jędryka) i Marika (Janusz Gajos), a w epilogu Leonikowi (Maciej Małek), to wartość tak oczywista, tak świeża, że aż zaskakująca.

Aleksy Arbuzow dał pokaz prostoty — nie prostactwa — subtelnej dydaktyki — a nie natrętnego pouczenia. Akcen-

ty heroizmu nie wynikały z batalistycznych pochukiwań, ale z kameralnych wyznań i z prostych decyzji pozna wionych patetycznych gestów. Kto by chciał wreszcie (skrótowo) dowiedzieć się, na czym polega kultura miłości, niech idzie na tę sztukę. Delikatność i nieporadny wdzięk zawiązującej się miłości, to wprawdzie jeszcze nie akcesoria subtelnych, psychologicznych preludów, które na strajają nie tylko ciała; ale ten nieporadny wdzięk młodych, którzy w trójkącie uczuć dojrzejawia, to jest coś więcej niż stosowana na o dzień kultura, to potrzeba charakterów.

W tym właśnie pierwotność wzruszenia, jakie ta sztuka budzi. Czystość. Jeżeli heroizm, to też wynikający z potrzeb serca.

Joanna Jędryka ujmująca i ze zrozumieniem upływającego czasu grała rolę Lidki, dziewczyny, która nie tyle wybiera, co poddaje się poświęceniu.

Janusz Gajos jako Marik swobodnie i z chłopięcą bez troską komplikuje swój los i los ukochanej dziewczyny.

Maciej Małek (Leonik) jest od tamtych dojrzałszy o konsekwencję i egoizm. Wygrawa Lidkę atutem kalectwa i nieustępliwości. Jest w miarę historyczny i w miarę antypatyczny. Zakończenie szczytne ale niebanalne. Arbuzow nie pozostawia „upadłych” bez oczyszczenia; Leonik zdobywa się na męski i altruistyczny (?) gest odepnięcia. „Biedny Marik” i „zagubiona Lidka” pozostają wreszcie razem.

Młodzieżowy wdzięk tej sztuki jest bajką dla wszystkich, jest prościutką sprawą o zapachu źródlanej wody. Świętynie dobrana trójka młodych aktorów, gra równo, sprawnie i ze szczerym przejęciem pod batutą Barbary Jankiewicz.

Scenografia: tym razem Henri Poulain daje lekcję jak prymitywne wnętrza (mieszkanie) można zamienić w estetyczne i funkcjonalne.



Foto: Ferenc

### Tele-objektyw

## MAŁO RADOŚCI

Rozpoczęcie cyklu felietonów telewizyjnych w czasie letniej kanikuły wydaje się sprzeczne z logiką. Ale gwałtownie kurcząca się ilość interesujących programów zwinia w znacznym stopniu ze sprawozdawczych serwitutów. Tworzą się więc luzy na ogólniejszą refleksję...

I tak na przykład nadana przed mniej więcej dwoma tygodniami, przez Teatr Telewizji Katowickiej, adaptacja opowiadania Antoniego Czechowa pt. „Tragedia na polowaniu” dała mi trochę do myślenia na temat przyswajania literackich tekstów niedramatycznych dla potrzeb teatru tv.

O adaptacjach pisze się u nas ostatnio bardzo wiele i nie zawsze sensownie. Zdarza się często pełen lekceważenia stosunek krytyków do adaptatorów, czy powtarzając pejo ratywne określenie — przerabiaczy. A jednak, czy się to komu podoba czy nie, telewizja domaga się adaptacji. „Stoi” na adaptacjach, chciałoby się powiedzieć. Stale łaknąca, stale w pogoni za tekstem, przypo mina legendarnego smoka wawelskiego.

Zjawisko to łatwo wytłumaczyć. Nie wystarczy utworów pisanych specjalnie dla te-

lewizji, nie wystarcza sztuk teatralnych, które po skrótach nadają się na ogół i dla teatru tv. Trzeba zatem sięgać po teksty niedramatyczne, powieści, opowiadania, nowele, poddawać je gruntownej obróbce i zabiegom dramaturgicznym. Bez tych poczynañ nie nadżyłoby się za potrzebami repertuarowymi, nie zaspokoiliby się apetytu Gargantui.

Nie muszę dodawać, że problem to nie tylko polski. Na całym świecie armie szperaczy przekopują się przez wielowiekowy dorobek literatury, odgrzebuja rzeczy dawno zapomniane, otrzepują z kurzu, dokonują ponownej, choć swoistej weryfikacji. Przeważnie ona do zaskakujących nieraz rezultatów: znakomity utwór literacki okazuje się złym surowcem dla adaptacji telewizyjnej, a odwrotnie utwór mierny może ujawnić cechy masy plastycznej, z której doskonale ukształtować można przyszłe widowisko.

Jakie czynniki decydują o trafności wyboru? Odpowiedź na to pytanie jest zbyt złożona, by pomieścić ją w ramach skromnego felietonu. Można jednak sprowadzić wszystko do podstawowego kryterium wi-



dowskowości. I może — abyśmy się dobrze zrozumieli — jeden przykład negatywny, po wtórzonej za zmarłym niedawno świetnym teoretykiem filmu Siegfriedem Kracauerem.

Cytuje on jedną scenę z powieści „Uwięziona” Marcela Prousta jako dowód nieprzekładalności na język widowiska pewnych fragmentów literackich. Jest wczesny rano, Marcel leży bezsenność w łóżku i przy

sluchuje się dobiegającym zza okna śpiewnym nawoływaniom paryskich przekupniów ulicznych. Okrzyki ich zlewają się w jedną



całość i Marcel odnosi nagle wrażenie, że słucha śpiewów gregoriańskich. Oto, mówi Kracauer, scena która może wypowiedzieć tylko słowo pisane. W obrazie możemy się pokusić jedynie o ukazanie zjawisk fizycznych ewokujących nastroj Marcela. Nie udało nam się oddać samego nastroju...

Od tej ogólnej dygresji wróćmy do Czechowa i adaptacji jego opowiadania dokonanej przez reżysera Lidie Zamkow. Czechow jest mistrzem specyficznym i trudnym. Ważne u niego nie słowo wypowiedziane, ale to przemilczane, ukryte między wierszami tekstu. Nastroj czechowski jest mistyczny, utkany z rzeczy białych, które pod wpływem jakiegoś niewyraźnego impulsu tracą swą przeciwieństwo, nabierają głębszego sensu.

Przy wystawianiu Czechowa istnieje zawsze niebezpieczeństwo, że tego tajemniczego impulsu zabraknie. Pozostaniemy wtedy w sferze banału i dosłowności. Na plan pierwszy wysunie się niewymyślna anegdota, która u Czechowa spełnia w gruncie rzeczy funkcje służebne.

Obawiam się, że w katowickiej inscenizacji nie udało się uniknąć tego błędu. I choć Leszek Herderen w roli sędziego śledczego raz jeszcze zaswagnalizował swoje rasowe, intelektualne aktorstwo telewizyjne, całość przypominała „Kobry” w fin-de-siecle'owym wydaniu.

\* \* \*

A teraz już w telegraficznym skrócie o tele-codziennosci. Ubiegły tydzień nie przyniósł na małym ekranie ewenementów. Łódź zainicjowała tegoroczny Telewizyjny Festiwal Teatrów Dramatycznych przeniesieniem do studia spektaklu „Kowal, pieniądze i gwiazdy” Jerzego Szaniawskiego w wykonaniu zespołu Teatru Nowego i reżyserii Olgi Koszutskiej. Spektakl ten w wersji teatralnej recenzowałem swego czasu na llnych łamach, ograniczę się więc do słów uznania dla pełnokrwistej postaci tytułowej w ujęciu Zygmunta Malawskiego.

Poza tym w programie powódz powtórek, jak chociażby słaby w wykonaniu (mimo



niektóre renomowane nazwiska) odcinek serialu „Pocztówka z Rio” Andrzeja Wydrzyńskiego w reżyserii Andrzeja Konica. Realizacja raczej tandetna. W dodatku zapis teleorekordowy zły technicznie. Hej, mało radości!

Władysław Gronow

# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje



Scena z bułgarskiego filmu pt. „Droga na brzegu morza”.

## BULGARSKA KINEMATOGRAFIA

Jeszcze do niedawna film bułgarski nie budził w świecie większego zainteresowania. Dopiero ostatnio filmowcom bułgarskim udało się zwrócić uwagę na swą produkcję filmową. Przyczyniły się do tego w decydujący sposób tygodnie kinematografii bułgarskiej zorganizowane w Lozannie, Londynie i Stambule. Siedem filmów jakie wyświetlono w tych miastach spotkało się z wielkim zainteresowaniem widzów i żywym oddźwiękiem w prasie.

Właściwie początki przemyślenia filmowego w Bułgarii datują się dopiero od roku 1949. Dziś Bułgaria produkuje 12 filmów długometrażowych rocznie. Prasa podkreśla, że Bułgarzy potrafili w swych filmach pokazać całe, nieraz nieznane dotąd wielu widzom, piękno ojczyźnego krajobrazu. Filmy bułgarskie najeźciej i najchętniej przed-

stawiają walke narodowo-wyzwolenie spod jarzma tureckiego. Nie jest to jednak bynajmniej temat jedyny. I tak np. Bułgarzy nakreśliłi filmy o tematyce ostatniej wojny, walce z okupantem lub o współczesnych problemach z życia młodzieży.

## KSIĄŻKA O GOGOŁU I „MARTWYCH DUSZACH”

Kiedy Gogol ukończył pierwszy tom książki „Powieść o kapitanie Kopejkinie”, dużo upłynęło czasu nim ukazał się on w druku. I to pod zmienionym tytułem „Martwe dusze”. To cenzura tak długo zwlekała z pozwoleniem na druk. Wreszcie książka mogła się ukazać, ale od autora zażądano by dokonał aż 36 sporych poprawek, wyłączenia lub przerobienia niektórych partii tekstu i wreszcie

Współpraca młodej, ale szybko rozwijającej się kinematografii bułgarskiej z doświadczonymi filmowcami radzieckimi rozszerzyła znacznie możliwości bułgarskiego przemysłu filmowego.

zmiany tytułu. Mimo to wszystkie trudności Gogolowi udało się wydać „Martwe dusze”, głównie dzięki temu, że cenzorzy nie rozumieli i nie docenili tego jakim „groźnym” brzemieniem się ona w rekach tych wszystkich, którzy walczyli o zniesienie poddaństwa chłopów. Niektórzy z cenzorów widzieli w „Martwych duszach” opis nieprawnej transakcji. Jeden z cenzorów oburzał się jedynie, że „dusze” policzone po zbyt niskiej cenie. Gdyby cenzura wie-

działa jak odbiora te książki czytelnicy nigdy by jej nie puścili do druku. Czy sam Gogol zdawał sobie sprawę z



tego jaki skutek wywrze jego dzieło?

Fakty te przypomniała „Literaturna Rossija” omawiając wydana niedawno książkę pt. „Martwe dusze” I. W. Gogola, której autorem jest C. Maszinski. Zdawałoby się, że o Gogolu i jego „Martwych duszach” napisano już tak wiele, że trudno przypuścić, aby nowa książka na ten temat mogła przynieść jakiegoś interesującego fakty. Jednak, jak to podkreśla „Literaturna Rossija”, Maszinski pisze książkę dla szerokiego rzeszy czytelników potrafił ująć materiał z nowego, świeżego punktu widzenia i w sposób ciekawy pokazał szereg interesujących problemów.

## JAK WYGLĄDAŁ WIELKI POETA WĘGIEŃSKI SANDOR PETŐFI?

Sándor Petőfi 1823—1849) największy romantyczny poeta węgierski, był adiutantem gen. Bema. Zginął w bitwie pod Segesvár. Istnieją kilka jego portretów. A w początkach lat 40 sfotografował się. Były to dopiero zaledwie początki fotografii. Ten ówczesny dagerotyp zachował się do naszych czasów, ale tak szczerzy, że nie sposób było zobaczyć na nim czegośkolwiek. Przez długi czas nie udawało się nikomu odtworzyć podobizny poety. Dopiero ostatnio, po długich i starannych usiłowaniach i szeregu próbach stara fotografia „ożyła”. Wizerunek Petőfiego został eksponowany na wystawie fotograficznej w Budapeszcie z okazji 125-lecia węgierskiej fotogra-

## NAGRODA „PAUL VAILLANT-COUTURIER”

Stowarzyszenie Przyjaciół Paul Vaillant-Couturiera ufundowało ostatnio nagrodę jego imienia, która przyznawana będzie corocznie za dzieło, które według oceny jury najbardziej podobałoby się temu pisarzowi.

Paul Vaillant-Couturier (ur. 1892, zm. 1937) był nie tylko dziennikarzem, pisarzem, wybitnym działaczem politycznym, ale uprawiał malarstwo, muzykę i był autorem piosenek.

W roku 1916 wstępuje do partii socjalistycznej. W cztery lata potem jest członkiem Francuskiej Partii Komunistycznej. Od 1926 roku zostaje redaktorem naczelnym dziennika „l'Humanité”. W roku 1935 wydaje powieść pt. „Niedobrze jest być młodym”. W roku

1938 ukazują się jego „Poezje”. W 1947, a więc w dziesięć lat po śmierci autora ukazują się w druku staraniem jego przyjaciół wybór artykułów i pism publicystycznych Paul Vaillant-Couturiera zatytułowany: „Nous ferons se lever le jour” (Sprawimy, że świt wstanie). Najwybitniejszym dziełem tego pisarza jest jego książka oparta na materiale autobiograficznym pt. „Przychodzę z daleka...”. W słowie wstępnym do jej wydania z roku 1946 Aragon napisał m. in., że Paul Vaillant-Couturier „został wzięty do niewoli przez hitlerowców, którymi był on, w człowieku, jak i wkrótce zwycięży na całym świecie”. (Cytat w tłum. J. Skrzywanówny-Strzeleckiej).

## SZTUKA DLA POKOJU

W Paryżu odbywa się wystawa pod nazwą „Sztuka dla pokoju w Wietnamie”. Na wystawie tej eksponowano dzieła około stu najwybitniejszych artystów współczesnych. Oprócz obrazów są tu rzeźby i inne przedmioty artystyczne jak np. dzieła tkaniny. Wystawa stanowi doniosłe wydarzenie kulturalne, gdyż jest ona równocześnie przejawem współczesnej sztuki francuskiej. Są tu dzieła takich artystów jak Calder, César, Max Ernst, Lapoujade, Le Parc, Magritte, Masson, Miro, Picasso, Pignon, Soto, Tinguely, Zadkin. Każdy z artystów ofiarował jedno ze swych dzieł na tę wystawę, na której odbył się ich sortaż. Dochód przekazany zostanie dla Wietnamskiego Czerwonego Krzyża oraz na pomoc dla Wietnamu. W ten sposób francuscy artyści zaznaczyli swą solidarność z walczącym o swe wyzwolenie ludem Wietnamu.



„Taniec” — tkanina z Aubusson wg projektu Légera



Pablo Picasso, Malarz i jego modelka.

## Jan Czarny

Na marginesie wystawy linorytów Teresy Jakubowskiej

Lódź staje się artystycznym ośrodkiem tej pięknej sztuki jaką jest grafika. Wystarczy wymienić przykładowo chociażby kilka nazwisk związanych z naszym miastem: L. Różga, St. Fljakowski, H. Pióciennik, Janina Tworek-Pierzgałska, B. Liberski... Rów nie dobrze moglibyśmy do tej reprezentacyjnej piątki dorzucić dalszych pięć nazwisk i nie popełnilibyśmy błędu — w Łodzi mamy naprawdę dobrą, może tu u nas trochę niedocenioną grafikę. Silne to środowisko „sztuki czarno-białej” przyciąga grafików z całej Polski, takich jak np. Malina (maj — salon Sztuki Współczesnej BWA) lub ostatnio T. Jakubowska (czerwiec — Klub MP i K). Wystawy pozałódzkie artystów są cenne nie tylko ze względu na walor popularny — zaoferuj ich wartościowego dorobku — są to niezbędne konfrontacje, pozwalające bez zrozumiałości stwierdzić, że łódzcy artyści nie pozostają w tyle za ogólnopolską czołówką.

Na obecnej, czerwcowej wystawie w Klubie MP i K, zorganizowanej staraniem Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych, Teresa Jakubowska prezentuje 16 linorytów. Jak z katalogu wynika (notabene: katalog mógłby być ładniejszy!) prace te obiegły niemal cały świat zanim dotarły do Łodzi. Ogłędano je w Rzymie, Tokio, w Paryżu... Mam wrażenie, że do popularności tych linorytów przyczyniła się w niemałym stopniu ich rodzajowość — i — nie wstydzimy się tego słowa — realizm. Prawie każda z tych prac jest satyrą, głosem, w sposób groteskowy kwitującą sprawą społeczną lub obyczajową („Powitanie gości”, „Plac Pigali”, „Molo sopockie”, „Lato tysiąclecia” itp.). Przy tym autorka posługuje się rysunkiem prostym, a deformacją przypomina karykatury z pism humorystycznych. Ta swa istota ludowska, plebejska, potoczona z dobrze pojętą czystością techniczną — to główna wartość prac Teresy Jakubowskiej i stad płyna jej sukcesy i popularność.

Tu jednak miejsce na mały kamysek w ogródek graficzny uprawianą przez autorkę. Jeśli już wiąże swoje prace z nurtem satyrycznym w sztuce, to mamy prawo mówić o tych pracach jako o satyrze, o jej jakości i nośności. Otył Jakubowskiej można by częstokroć zarzucić brak wybredności, brak głębi, zarówno w ujęciu satyrycznym tematu jak i w formie. Brak tym razem tego, co cechuje satyrę takich mistrzów jak Grosch lub chociażby Steinberg — sily uogólnienia. Niemniej jednak zarzut ten nie odnosi się do wszystkich prac Jakubowskiej. Niektóre z nich osiągnęły wysoką rangę i celność poparta zarówno walorami treściowymi jak i formalnymi.

Wystarczy że wymienimy takie interesujące linoryty jak „Kolejka”, „Solarium”, lub chociażby „Ospa”.

Małgorzata Błazińska

# Notatki na MARGINESIE

W młodości swej natknąłem się na pewną pasjonującą psychologię zagadkę. Wiazała się ona z Zosia, dziewczeciem bożym, o bujnych i miłych dla oka kształtach, buzi różowej, niebieskich oczkach i warkoczach grubych jak nadgarstek kowala.

Mimo tak oczywistych walorów i łatwego we współzyciu z ludźmi charakteru — Zosia nie miała powodzenia. Jej flirty trwały zawsze tylko parę dni i nie przeradzały się w prawdziwe romanse. Każdy z nas kiedyś był z nią na spacerze, kiedyś z nią się pocałował. I co? I nic. Jeszcze nie narodzone miłości jakoś wiedzy. Dlaczego? To właśnie stanowiło zadanie psychologiczne, często w ówczesnym naszym kręgu dyskusyjnym. Dlaczego Zosia nie ma powodzenia? Przecież jest miła, dobra, ładna. Przecież ma wszystko co trzeba. Wiec dlaczego, do czego, dlaczego?

Po debatach na ten temat dochodziliśmy zazwyczaj do tego samego wniosku:

Zosia nie ma powodzenia, bo brak jej temperamentu.

Rzeczna te historyjke opowiadam dziś nie przydadkiem i nie tylko dlatego, że nazwy mnie wspomnienia. Dziś w czasach bywa ludzkie skojarzenia; mnie Zosia skojarzyła się z Łodzią.

A rzecz jest z morałem!

I tak np. Łódź, jak wiadomo, jest polską stolicą filmu, polskim Hollywood; tyle razy nadużywano tego frazesu, że obrzydł nam już doszczętnie. A przecież bliski jest prawdy już samo skądś — największe w Polsce — wytwórni, od Fabuly, przez Oświatowską, no Semafora, dale naszego miastu prawo do takiego tytułu. A jeszcze tzw. zaplecze techniczne: Wytwórnia Koplil, Dubbing, laboratoria. No i natyżajmniej: Szkoła Filmowa, o której, niechym o pięknej kobiecie, plotkować można godzinami.

Wiec Łódź jest stolicą polskiego filmu. To fakt. Bardzo paradoksalny. Bowiem mimo iż stan taki trwa od wielu lat, Łódź (przynajmniej w zakresie tzw. polityki kulturalnej) i życia intelektualnego) zupełnie nie zwracała się. Tak mi się wydawało w moim światkiem. I w moim przysłowiu „Jeden do Sasa, drugi do Insa” — żyje w Łodzi łódzki świat filmowy po warszawsku, orientując się na Warszawę, snobizując się na Warszawę, marząc o Warszawie.

A miasto stan ten traktuje jako dopust Boży. Trudno, tak musi być! Po matu podzi się i przeświadczenie, że jesteśmy dla filmowców partnerem zbyt wатыm.

Co innego Warszawa! (Mekka polskiej kultury, stolica konwentyków, decyzji, businessu).

Co innego Kraków! (Medyna polskiej kultury, stolica wyrafinowanego emokierstwa).

Co innego Poznań! (Np. publicystyka filmowa w TV).

Byłe nie Łódź, chociaż to... itp., itd., jak wyżej.

Łódź teatralna jest miastem bardzo pięknych tradycji. Jej zaplecze i możliwości realizacyjne są, co tu mówić, imponujące: mamy, no Warszawie, najwiecej scen, z wspaniałym Teatrem Wielkim na czele, z nowa Operetką, której możliwości techniczne wciąż jeszcze są zapoznane. Dodajmy do tego teatru: Jaracza — do renowacji — Nowy — z jakimi tradycjami! — Powszechny — z jakże wierną widownością! Dodajmy jeszcze do tego Szkołę Aktorską.

I jeszcze — o czym mówi się rzadziej — szanse współpracy z filmem, fakt nie oferuje do faktu aktorom żadne inne (poza Warszawą) miasto.

— Drugi w Polsce Teatr TV, który także potrzebuje i aktora i reżysera.

A przecież klimat teatral-

ny Łodzi, jeśli porównamy go z rokiem 1947 lub 1957, trudno uznać za korzystny i sprzyjający powstawaniu wielkich wydarzeń scenicznych.

Paradoks? Chyba tak. Jak go tłumaczyć? Czy tylko tym, że Łódź teatralna dawała wiele raz swą krew innym miastom, i, że nadmierne kwiodawstwo wywołowało, jak bywa czasem w życiu — dzisiaj szar renerurowa, a chyba i personalna, anemie?

Łódź plastyczna jest ważnym punktem na mapie artystycznej Europy: bo to i tradycja (miedzywojenna i modernna) i miedzywaro-dowe sukcesy już całkiem wszechstronne łódzkiej plastyków.

A jeszcze dodajmy do tego Wyższą Szkołę Plastyczną.

A jeszcze Muzeum (Jedne w Polsce) Sztuki Współczesnej.

Niestety, i w tej dziedzinie rzadzi ten sam paradoks: konia z rzędem (a raczej bardziej współczesnie: Szyronke albo Trabanta) temu przybyszowi, który po spacerze nazną magistrala — dentakiem, Piotrkowska, od placu Wolności aż po plac Nienodległości, dostrzeże (poza siebie) plastyków. Jakikolwiek wlek symptomaty, iż Łódź to ogromne skupisko artystycznych twórców i młodego plastycznego narobku. Można by więc zarzykować twierdzenie, że łódzka plastyka żyje w konspiracji. A w każdym razie w izolacji od spraw miasta. Ze nie wywiera na obraz miasta żadnego wpływu. Dlaczego?

# Gang „Złotej Reni”

W historii, którą opowiada czarnowłosa, szczupła, energiczna, młody człowiek, rekwi zytami są tysiące dolarów, szybkie samochody, setki złotych monet, wytworne lokale, bajonki rachunki, przemyt i drogie kamienie. Nie mogę uwierzyć, że rozmowa opowiada mi nie treść zagranicznego kryminału, a po prostu referuje sprawę, którą prowadził z okien pokoju widać znany z pocztówek charakterystyczny ratusz. Rozmowa toczy się w Komendzie Wojewódzkiej MO w Gdańsku.

Gdańsk to nie tylko Starówka i stocznia. Gdańsk to przede wszystkim ogromny ruchliwy port. Tu zawiązuje się wszystkie kontynenty, tu słychać języki różnych stron świata, spotkać można marynarzy różnych narodowości. Tu, obok pracujących w pocie czoła dokerów, dojrzeć można niebieskie ptaki — z gatunku cinkciarzy, polujących na marynarzy obcych bander, proponujących im różne ciemne interesy, a głównie wymianę dolarów na złotówki. Port, to również celniców, wylatujących przemytników i przemytnicy usiłujący oszukać celników. A obserwacji milicji wynikało, że różnymi kanałami płynęło na Wybrzeże — złoto. Przez łańcuszek pośredników przemycane złoto trafiało w głąb kraju, do Krakowa, Łodzi, Warszawy, aby spocząć w „bankach ziemskich” — głęboko w ziemi, w ogródkach jednorodzinnych willi, jako lo kata kapitału, najczęściej zdobytego nieuczciwie.

Złota rzeka wzbierała. W miarę upływu czasu w sejfie Komendy Wojewódzkiej MO w Gdańsku pęczniała teczka obserwowana kryptonimem „Melina”. Znano już ludzi, trudniących się „złotymi interesami” ich powiązania i funkcje, drogie złoto — brakło tylko dowodów ich winy. Przeciwnik kutu był na cztery noży, w małym palcu miał zasady konspiracji, dysponował własną obstawą. Walka z gangiem przypominała chwilami walkę z agentami obcego wywiadu, jeden fałszywy, przedwczesny ruch zniewerzyć mógł pracę wielu miesięcy.

Regina Kaszubowa znana w półświatku Gdańskiego Wybrzeża jako pani Renia, ubierała się niezwykle elegancko. Nikt nie domyśliłby się, że jest matką dorosłego syna

i zbliża się do wieku balzackowskiego, bo też potrafiła dbać o siebie. Dwa razy dzień nie szła do fryzjera. Suknie, buty i bieliznę sprowadzała prosto z Paryża. W programie jej dnia była również ranna pogawędka z przyjaciółkami w Grand Hotelu i podwieczorek z francuskim koniakiem. Czasu miała dużo, od lat 13 bowiem nie pracowała. Nieliczni znajomi odwiedzający trzypokojowe mieszkanie pięknie rozwódki, podziwiali baterie drogich trunków, luksusowe zagraniczne papierosy, najnowocześniejszy telewizor, magnetofony, eleganckie meble. Ośmielające życie prowa dziła kobieta, zwracająca uwagę szykiem, elegancją, gestem (rachunek w lokalu wynosił czasem 10 tys. zł), kobietą bez zawodu i elementarnego wykształcenia.

16 lat trwały studia medyczne Anieli Koziorowskiej. Dyplom otrzymała niedawno i podjęła pracę w klinice jako lekarz-stażysta z pensją 1700 zł miesięcznie. Tymczasem zwierzała się znajomym, że miesięcznie wydaje na kreacje, fryzjera i rozrywki 25 tys. zł, czyli 23.300 zł więcej niż otrzymywała za pracę. W garażu Koziorowskiej stał najnowszy model „Moskwicza”.

Aleksander Koziorowski mierny oficer marynarki handlowej, miał szczęście do posiadania statki i linie zmieniał na życzenie. Sukcesy te gwarantował mu nie urok osobisty, ale elokwencja — potrafił mówić „do ręki”. Miał gust Koziorowski. Sylwester kosztował go wraz z kreacjami żony 150 tys. zł. Między Kaszubową, Koziorowską, jej trzecim mężem Aleksandrem, Ginalsłkim i kilku innymi panowała swoista rywalizacja — sprowadzająca się do ciągłego wyścigu kto się lepiej, drożej ubierze, kto ma modniejsze ciuchy. Kaszubowa miała 50 par szpilek — Koziorowska niewiele mniej.

Nie trzeba znać wyższej matematyki, aby mieć wątpliwości, że takie wydatki z legalnych źródeł nie pochodzą.

„Godzinę Zero” — finał sprawy pod kryptonimem „Melina” wyznaczono na deszczowy wieczór 20 czerwca 1966 roku. Do eleganckiej kobiety i wytwornie ubranego mężczyzny zmierzających do zaparkowanego „Flata” podszło w ten wieczór na ul. Malczewskiego w Gdańsku —

dwóch młodych ludzi. — Milicja — oświadczyli. — Proszę z nami. Kobieta gwałtownie odrzuciła torebkę, mężczyzna rozgląda się niezdecydowanie. — Prosimy do samochodu, pani Reniu, — rozkazują milicjanci. Na ucieczkę za późno. W porzuconej torebce znajdują 8 rulonów po 25 sztuk złotych dwudziestodolarowych fałszyfkatów.

W tym samym czasie Anieli Koziorowskiej mówi do milicjanta, który zjawił się w jej mieszkaniu z nakazem rewizji i aresztowania: — Bierz pan wszystko złoto (było tego 155 sztuk) i samochód, tylko zdumieniu odmówił. Milicjanci przeszukują mieszkanie Kaszubowej i wielu innych. W sumie aresztowano 29 osób. Gang „Złotej Reni” ulega likwidacji. Z przemyślanej skrytki w mieszkaniu Kaszubowej — znajdującej się w fotelu — milicjanci wyciągnęli pół kilograma kamieni syntetycznych, dalszych 48 złotych mo-



Fot. E. Kula

net. Waluty w papierach — dolary, korony szwedzkie, duńskie, marki zachodniemieckie. Do Komendy zwozi się złoto — ilość jego rosła z 3 kg do 5, z 5 wzrasta do 10, by zamknąć się liczbą 30 kg. Na stołach segreguje się banknoty dolarowe — kwote niebagatelne — 13.533 dolary.

Regina Kaszubowa, Anieli Koziorowska, jej mąż Aleksander, Ginalsłki i inni, to grupa osób, trudniących się nielegalnym handlem złota i dewiz. Obroty ich wyniosły 18 milionów złotych. W ciągu paroletniej działalności doprowadzili do wywozu z kraju ok. 120 tys. dolarów, a sprawa dzieli wiele kilogramów złota w postaci dwudziestodolarowych złotych monet. Suma uszczuplonego cła wyniosła 6,5 mln zł.

Gang „Złotej Reni” działał wg określonego planu. Marynarze obcych bander zostawiali dolary u cór Koryntu lub sprzedawali cinkciarzom, którzy pełno w lokalach w „Cafe Baltick”, „Ermitage”, „Akwarium”, „Pod żaglami”, „Bristolu”, „Pod wieżą”, „Riwierze” czy „Bungalowu”. Cinkciarz płacił 50 zł za dolara. Z kolei cinkciarz niesie dolary do hurtownika i sprzedaje go 75 zł. „Złota Renia” płaci hurtownikowi po 100 zł za dolara. Ta różnica, to cena jej bezpieczeństwa, nie musi się bowiem stykać z ludźmi niewtajemniczonymi, którym nie ufa.

Hurtownicy idący do „Złotej Reni” z dolarami, nim wkroczą do mieszkania upewniana

się, czy nie grozi im jakieś niebezpieczeństwo. Gdy w oknie zaciągnięta jest firanka, wystawiony kwiat — to znak: — nie wchodzić. Przed drzwiami mieszkania stoi para zniszczonych, dzieciennych trampki. Hurtownik dzwoni, wkłada pieniądze do trampki. Jeśli nawet wewnątrz była rewizja, nie by nie znalazł, a ktoś kto czuwa nad bezpieczeństwem „Złotej Reni” zabrałby sprzed drzwi trampki. Są bowiem ludzie w gangu, którzy obserwują pole działania, umownymi znakami ostrzegają, gdy dojrzą coś „podejrzane”. Tak zorganizowany gang daje poczucie bezpieczeństwa, wiary, że jest nieuchwytna a raczej, że nie ma mowy o udowodnieniu jej czegokolwiek.

Dolary przekazuje „Złota Renia” marynarzom, ci z kolei kupują za granicę złoto. W Kanale Kilońskim w NRF nabyć je można w firmie Moszkowicz i s-ka prowadzącej różne ciemne interesy. W Antwerpii u Skiby, ponadto w Sztokholmie, w Londynie. W zakamarkach na statku, w ubraniach marynarzy przewozi złoto. Dostaje je „Złota Renia” i znów zamienia w dolary.

Za 20-dolarówkę (fałszyfkąt złoty, bity w prywatnych mennicach w Austrii, Szwajcarii, NRF — o wadze nieco mniejszej lub zbliżonej do dolara), „Złota Renia” płaci marynarzom po 38 dolarów za sztukę. Sprzedaje je zaś zaufanym pośrednikom po 40 dolarów, ci z kolei sprzedają je „Lokalarzom” po 4500 do 5500 za sztukę. Złoto trafia do „banków ziemskich”. To właśnie w złocie kupionym od „Złotej Reni” i zakupianym w „banku ziemskim” rosną róże w jednym z łódzkich ogródków.

„Złota Renia” wie, że jest obserwowana. Gang zwiększa wydatki na bezpieczeństwo, doskonali organizację, zwiększa konspirację, przesuwając ludzi. Ginalsłki rezygnuje z zagranicznych rejsów, podejmuje prace pilota w porcie. Ryzykuje mniejsze, a i tak jest pierwszą osobą, która wchodzi na statek przybywający do portu z wielomiesięcznego rejsu. Telefon z morza zawierają szwafrowane informacje, łącznicy i odbiorcy wzmagają czujność. Posługują się coraz szybszymi samochodami, zmieniają środki komunikacji z samochodem na express, potem samolot, by powrócić według ustalonego planu do przedziału kolejowego. Zwiększa się liczba znaków umownych. Firanka w oknie mieszkania „Złotej Reni” może być zaciągnięta, mogą stać przed drzwiami trampki, ale hurtownik nie zadzwoni, gdy w zamku nie będzie maleńkiego kawałka zielonej nitki. W „Godzinie zero”, po przesłaniu dwu latych żmudnego dochodzenia, gang został zupełnie zaskoczony. O dogłębnym, precyzywnym rozpracowaniu gangu świadczy fakt, że do mieszkania Koziorowskich milicja przyszła na parę minut przed planowanym przybyciem „Kuriera ze Sztokholmu”, Władysław

slawy Raj, Polki zamieszkałej w Szwecji, która w skrytce „Mercedesa” przewoziła przez granicę po 250 złotych monet.

Wypada zadać sobie pytanie — dlaczego handel dolarami jest tak modny i opłacalny, i to nie tylko na Wybrzeżu. Przyczyn jest wiele. Cinkciarze, waluciarze wykorzystują słabe strony państwowego skupu dewiz. Wystarczy powiedzieć, że wymiana dewiz zajmują się na Wybrzeżu... Urzędy Celne, których marynarze unikają. Po drugie są one fatalnie zlokalizowane. Daleko położone od portu, banki zaś dokonują wymiany dewiz tylko do godz. 12. Brak jest natomiast placówek wymiany, czy kantorów na „szlakach marynarskich” w lokalach przy rynekowych, restauracjach. Tymczasem obcy nie są przyzwyczajeni, aby biegać i szukać kantorów wymiany, muszą je mieć pod ręką, zawsze otwarte, są przecież dla nich — te prawde trzeba wreszcie dojrzeć. Dotychczas „pod ręką” jest zawsze cinkciarz. I wszędzie, zarówno w Gdyni, Gdańsku, Szczecinie, jak i Łodzi czy Kutnie. Wiadomo na przykład, że w okresie międzywojennym emigrowały z Polski tysiące ludzi. Wiadomo także, że co jakiś czas dawni emigranci przysyłają rodzinom zamieszkałym w kraju drobne sumy w listach. Niektórzy uspokajają się powiedzeniem, że w Ameryce jest taki zwyczaj. Figą z makiem — nie ma wcale takiego zwyczaju. Ten zwyczaj wprowadził bank Polska Kasa Opieki. Instytucja ta, wielce wygodna, przyjmuje pieniężne przysyłki do kraju tylko do wysokości 20 dolarów. Mniej nie można i już. A wiadomo, że wśród polskich emigrantów — Rotszyldów nie jest duzo, większość to ludzie ciężko pracujący, średnio zamożni, którzy mogą przysłać do kraju tylko własne drobne sumy. Jak już rolnik spod Kutna, skąd emigracja była duża, otrzyma w liście dolara czy nawet 5 i ma jechać wymienić go do Łodzi, to prosta kalkulacja dowodzi, że mu się to nie opłaca, a w Kutnie wymianę dokonać nie może. War to więc, aby tej sprawie narzeczcie przywrócić się z bliska.

Grube ryby z gangu „Złotej Reni” stanęły przed kilkudziesięciami przed Sądem Wojewódzkim w Gdańsku. Sześć osób i Aleksandra Koziorowską skazano na kary po 10 lat, 500 tys. zł grzywny, przepadek mienia i 5-letnią utratę praw publicznych, pani doktor wymierzono 7 lat więzienia, 300 tys. zł grzywny, zaś b. kapłana żeglugi, Ginalsłkiego, za szkodę w czasie rozprawy sądowej, skazano na 4 lata więzienia. W toku przewodzenia sądowego ustalono, że dostarczyli oni do kraju 3.875 monet 20-dolarowych (większość to złote fałszyfkaty), 390 złotych monet 10-rublowych, 5 kg złota w sztabkach, 3 kg kamieni syntetycznych, 50 sztuk bransolet złotych. Wyrok zapadł w trybie dorocznym.



## Lewym okiem

### WIĘCEJ NIEBA, PLECY, KOMÓRKI

W połowie dziewiętnastego wieku ulice starożytnego Paryża stały się za ciasne dla ruchu setek powozów i karet, dla tłumów pieszych i konnych, wypełniających po brzegi stolicę światła. Dziś stały się za ciasne po raz drugi, w skali stolecznej bardziej odczuwalnej. Jednemu z moich znajomych, lecącemu służbowo do Kanady, doradzono zadbać o nocleg w Paryżu, bo na przesiadkę z jednego lotniska na drugie trzeba zużyć trzy godziny, a można się nie przedostać w takim okresie czasu przez ulice miasta. Sto lat temu nie było takich problemów, bo nie było samochodów.

Więc znów się burzy cała dzielnicę przestawionych hal w samym sercu miasta. Zaczyna się burzyć. Oglądaliśmy też w „L'Humanite Di-

manche” wizję nowej dzielnicy, która w tym miejscu powstanie. W głowie się kręci.

Ale zaraz, pomalutku. W połowie dziewiętnastego wieku, przy wielkim oburzeniu i lawinie protestów, przystąpiono do pierwszych chyb w historii, planowych, pokojowych wyburzeń. Hausmann, który to wymyślił, był zapewne niezwykłym, odważnym wizjonerem. Powstały... Co powstało? Powstały Bulwary Paryskie, najpiękniejszy jak mówią akcent miasta, bez którego już Paryż nie można sobie wyobrazić.

Mięgło marnych parędziesiąt lat i oto w Polsce, biedniutkiej, zagłodzonej, galicyjskiej, zniszczonej Polsce, w prowincjonalnym miasteczku Krakowie, przy wtorze Jeremia i zawodzeń, zaczęły walić się mury starych, szpetnych czynszówek. Świadomie, planowo i pokojowo rozwalono całe szeregi domów, domków i ruder — i co powstało? Powstały krakowskie Planty, a w nich cała niepowtarzalna uroda tego miasta, po którym nie sposób chodzić inaczej jak w lekkim afekcie. Ale i to piękno stworzyli odważni wizjonerzy, obdarzeni przez los tyle władzą, co wyobraźnią.

O ciasnocie ulic łódzkich najlepiej posłuchać taksówkarzy. Tak nie mogło trwać, jeden maleńki krok w bok i już „ciężko poszkodowany” kwalifikujesz się do rubryki drobnych wypadków. W żadnym chyba mieście nie ma tak wiele zdarzeń tego typu: zesła nagle na jezdnię... potrącony na chodniku skutkiem zbytniego zbliżenia się do jezdni... Tak nie mogło trwać. Więc zaczęto burzyć — i to z prawdziwym rozmachem, jak na Zachodzie, na Narutowicza, na Kilińskiego. Leciały ściany domów, które przetrwałyby pewno jeszcze parę dziesięcioleci. Rozszerzyło się niebo nad głową,

pojaśniało w niektórych zapojonych kątach miasta. To bardzo dobrze, to napawa nas dumą i podbudowuje przywiązanie do miasta.

Niestety, nie powstała z tego ani Bulwary, ani Planty, ani nic, co by urodziło Łódź o cał podobno. Konieczność, owszem. Wygoda, to prawda. Bezpieczeństwo — najważniejsza rzecz. Uroda? Zamykam oczy jadąc tramwajem poszerzoną Zachodnią. Mamy teraz — tu i gdzie indziej — całe ciągi domów obróconych plecami do ulicy. Plecami, pełnymi lizajów, brzydkimi jak sen neurastenika. Mamy obnażone podwórka z komórkami, którym nigdy żadna farba nie pomoże. Mamy w centralnych punktach miasta narożniki z podcieniami, pachnącymi szaletem i smutkiem, i narożniki bez podcieni, złożone z dwóch krwawych lub niedbale ubielonych, martwych ścian.

Jaka szkoda, że czegoś nieduzego, a ważnego zabrakło: wyobraźni, pomysłów estetycznych. Tak jak przed paru laty, gdy jedynym profi-laktycznym zabiegiem, chroniącym przechodniów przed spadnięciem na głowę balkonów było po prostu obtłukiwanie balkonów i gzymsów, a potem okaleczanie fasady straszły nas przez całe lata, nas — nie zepsutych bynajmniej nadmiarem piękna w „mieście Łódź”.

Brak pomysłów i brak wykończenia. Oczywiście, to kosztuje. Miasto zdobywa się na wielki wysiłek, robiąc to, co robi. Z całym szacunkiem, z radością i dumą pamiętamy o tym, nawet zamykając oczy podczas jazdy tramwajem wzdłuż ulicy Zachodniej.

CWIEK